

# TATERNIK

Magazyn  
Polskiego Związku Alpinizmu

ISTNIEJE OD 1907 ROKU

3  
1998



<http://pza.org.pl>

## Spis treści

Rekord świata w Lamprechtsofen ...	1
Messner w Polsce .....	4
Mariott Tower – wspinaczka wśród szkła .....	9
Diabelska Wieża .....	13
To se ne vrati .....	15
Pierwszy na linie .....	24
Junior '98 .....	29
Trening – błędy .....	30
Kurs instruktorów wspinaczki halowej .....	32
Wall on the Early Morning Light .....	33
Wyróżnienie dla Andrzeja Zawady ..	34
Pożegnania .....	35
Jaskinie i speleologia .....	36
Portret Śpiącej Damy Nanga Parbat	37
Listy .....	38
Latok .....	39
Wydawnictwa .....	40
Sprawy różne .....	42

Zdjęcie na okładce: Alain Robert na ścianie  
Mariotta

*Fot. Dawid Kaszlikowski*

Zdjęcie obok: Wspinaczka na La Fiamma  
w Dolinie Albigna w Bergell

*Fot. A. Kłos*

ISSN 01373155



**Rafał Kardaś**

## REKORD ŚWIATA W LAMPRECHTSOFEN



*Andrzej Ciszewski*

Na krótko tylko pierwszeństwo wśród najgłębszych jaskiń świata przypadło Gouffre Mirola, gdzie w styczniu br. osiągnięto głębokość -1610 m (porównaj T. 2/98, s. 34). Niespełna 8 miesięcy później miejsce rekordzistki zajęła austriacka jaskinia Lamprechtsofen z wynikiem 1632 m, wieńczącym ponaddwudziestoletni okres polskiej eks-

ploracji. Przypomnijmy kolejne uzyskiwane w niej rekordowe osiągnięcia:

- 1977 r. wysokość +852 m, podwyższenie największego w świecie przewyższenia
  - 1978 r. wysokość +952 m., j.w.
  - 1979 r. wysokość +1014 m., j.w., całkowita deniwelacja 1024 m (-10)
  - 1990 r. wysokość +1050 m, a następnie połączenie z Verlorenenweghöhle, co dało trzecią głębokość świata -1484 m oraz największy trawers świata o deniwelacji 1473 m (pokonany w 1992 r.)
  - 1995 r. połączenie z Vogelschacht -1532 m – druga jaskinia świata
  - 1998 r. połączenie z PL-2, -1632 m – najgłębsza jaskinia świata, trawers o deniwelacji 1621 m
- Bezprecedensowy sukces jest okazją do rozmowy z kierownikiem wypraw (wszystkich poza pierwszą w 1977 r.), których praca złożyła się na to osiągnięcie.

**Z Andrzejem Ciszewskim  
rozmawia Rafał Kardaś**

**– Opowiedz najpierw, jak doszło do połączenia.**

– Po zeszłorocznej wyprawie wydawało się, że jest już bardzo blisko z PL-2 do Vogla. Nakładało to się na siebie w poziomie, ale się nie łączyło. W PL-2 wykonano wówczas długi trawers, osadzając 110 nitów nad wodospadami i szczeliną posuwano się za ciągiem powietrza 300 m na północ. Z drugiej strony, w Voglu, w perspektywnym

rejonie też nic nie wyszło – ciasne szczeliny i wodospady. W tym roku zakładałem atakowanie od strony Vogla pod prąd wody, wzięliśmy nawet pianki do wspinania. Ale szczęśliwie wody było mało i dało się wspinać formacją rozdzielającą wodospady. Puściło 80 m w górę, głównie klasycznie. Tam wyżej trochę się położyło. Poszliśmy z Pumą<sup>1)</sup> na biwak i wstrzeliłem się we właściwy poziom – trawers pod stropem otwartej szczeliny. Następna ekipa dotarła do ciągu wodnego i znalazła okno prowadzące do systemu meandrów i galerii. Szło to najpierw na północ, a potem zakręciło i bliżej Kuchelhornu podążyło na południe. Dalej była 150-metrowa studnia i początkowo nawet wydawało się, że to już jest w Peelce. Jest tam taka, niedojechana kiedyś do dna: w górę – czarno, a w dół – między wantami i z wodospadami. Jednak odkryta stopięćdziesiątka okazała się ślepa. Dno zasypane wantami. Stało się więc jasne, że to inna formacja. Wobec tego po 20 m zjazdu wykonany został trawers do okna, wyczonego przy pomocy wykwitów aragonitowych. Za nim jest ciąg poziomy, a po kilku zjazdach wpada się już do Peelki. Tomek Fiedorowicz z Wojtkiem Czesakiem zjechali tam studnią, nad którą byli już Henio<sup>2)</sup> z Piksą. Trafili na spity i wydawało im się, że znowu są w Voglu. Później jednak Janek Kućmierz, znający Peelkę, stwierdził, że nastąpiło połączenie.

– I w ten sposób 1632 m stało się faktem. Kiedy to było?

– 18 sierpnia. Cała wyprawa, firmowana przez KTJ PZA, trwała od 20 lipca do 25 sierpnia. Udział

wzięło ponad 20 osób, głównie z KKTJ-tu i Speleoklubu Warszawskiego.

– Poza deniwelacją wzrosła bardzo długość systemu...

– Plany obejmują ponad 50 kilometrów, a nie skartowanych ciągów jest jeszcze ze 3 kilometry.

– Czy jednocześnie próbowaliście eksploracji w innych miejscach?

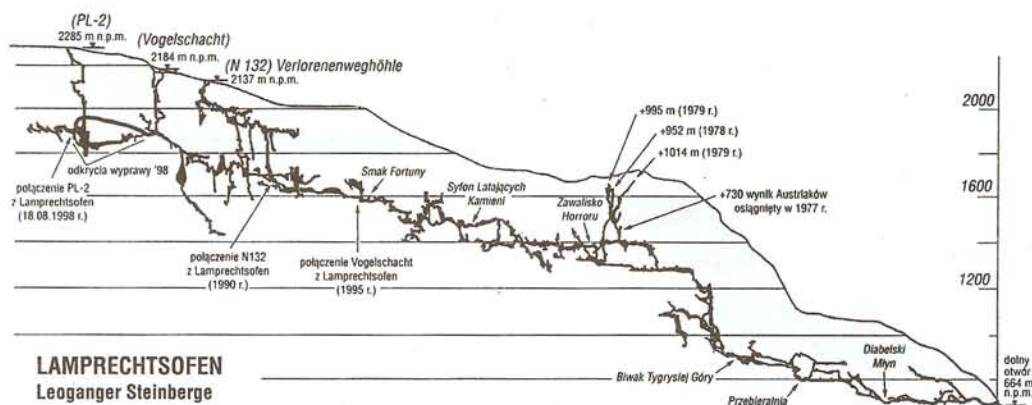
– Nie... atakowaliśmy od strony Vogla, skupiając się na tym jednym ciągu (suma odkryć wyniosła w nim 1200 m). W Peelce od otworu nikt nie był. W zeszłym roku wywspinanie 150 m zajęło tam dwa tygodnie. Na koniec zretransportowaliśmy liny z Vogla.

– Czy korzystaliście z jakiejś „wunderwaffe”?

– Bardzo pomagał w eksploracji silny reflektor o zasięgu 1200 m. Poza tym standard: dwie wiertarki spalinowe i dwie akumulatorowe.

– No więc jest ten wymarzony rekord... Co dalej?

– Zakładałem, że to ostatni raz w Leogangu przed dłuższą przerwą. Marzyła mi się Kreta. Ale młodzi napaleni są okrutnie, więc chyba nie da się uniknąć kontynuacji. Nie można im sprawić zawodu. Ze starszych oprócz mnie pojedzie pewnie Henio, Krzysiek Piksa, Puma (na pół etatu ze względu na Furka<sup>3)</sup>). W przyszłym roku czeka nas skończenie dwóch ciągów w Peelce: jeden jest na poziomie -400 m, a drugi wysuwa się najdalej na południe. Potem zamierzam ściągnąć liny z Peelki, są bardzo zużyte, wiszą od 1992 r., i atakować od



Przekrój systemu Lamprechtsofen

strony wyżej położonych otworów. Jest ich kilka – w jednym byłem przedostatniego dnia wyprawy. Leży wyżej o 10-12 metrów. Odkryłem go dwa lata temu. Wybrałem się tam teraz na spacer z dzieckiem. Furek przeszedł za zacisk (dotarł do -15 m). On odrzucał kamienie, ja kulę. Doszliśmy tam potem z Heniem do -40 m. W paru miejscach od Peelki dzieli tylko 10 m. Kolejna jaskinia to CL-3. Odkrył ją Pigmej<sup>4)</sup> ze dwa lata temu w ostatniej buli w karze<sup>5)</sup> przed granią. Jest około 70 m wyżej (może nawet na 2370 m n.p.m.). Byliśmy tam w zeszłym roku – zaprana śniegiem i lodem. Teraz był bardzo niski stan śniegu – najniższy, jaki w ogóle widziałem. Puściło do -60 i dalej ciągnie się w dół... Jest jeszcze taka dziura, którą eksplorowaliśmy z Wieśkiem Wilkiem i Pumą w 1981 r. na podobnej wysokości jak CL-3. Ona ewidentnie stanowi wylot tego systemu. Jestem pewien na 99%. Na końcu ma meanderek zasypany kamieniami. Trzeba by kopnąć...

#### – Są więc perspektywy...

– Gdyby chciał łączyć z Peelką, to jest do pokonania około 400 metrów. Nie wiem, czy starczy energii... Otwór leży wysoko i daleko, o dwie godziny marszu od bazy przy jeziorkach. Pogoda bywa tam zmienna i działanie tak wysoko będzie mało efektywne. Trzeba przenieść bazę – rozbić przy otworze ze dwa namioty odporne na wiatr. Przyszły rok będzie bardzo ciekawy. Czeka nas wejście w strefę wysoko leżących otworów, w jakiej nigdy jeszcze w Alpach nie puściło bez strzelania. Nie będzie więc puszczać jak głupie i czeka nas przebadanie większej ilości dziur. Klappacher<sup>6)</sup> doradza barwienie wód wysoko w karze. Robili to już kiedyś na poziomie ok. 2300 m n.p.m. i uzyskali bardzo ciekawe wyniki. Część wód wypłynęła pod Lampo, a część na południu w Birnbachloch na ok. 1000 m. Duże stare piętro korytarzy ciągnie się około 700 m od grani na poziomie -400 m pod dnem karu. Może w pewnej fazie rozwoju systemu dopływały tu wody z południa, zza grani? Są tam takie dziury położone bardzo wysoko w południowej ścianie Birnhornu. Nikt do nich nie zjeżdżał...

#### – A co konkurencja na to, że rekord po raz pierwszy od 55 lat opuścił Francję?

– Z Mirolądą sprawa w ogóle jest trochę nieklarowna. Wynik ten wzbudził w samej Francji spore niedowierzanie i nieufność... W każdym razie powyżej niej są też jeszcze otwory. Francuzi zawiadomili już, że biorą się do roboty. Nagromadzili zapasy materiałów wybuchowych i będą strzelać. Twierdzą jednak, że -2000 m padnie gdzie indziej: w Meksyku, w Sierra Zongolika. Tu w Lampo możliwe jest teraz 1700 m. Dałoby się może realnie

i 1750 m, ale na to potrzeba wiele lat i dynamitu...

#### – A jak układają się obecnie stosunki z miejscowymi grotolazami?

– Austriacy pogodzili się z faktem, że nie im przypadła ta eksploracja. Układy są dobre, 24 października urządzają nawet pod Lampo dużą imprezę z okazji naszego rekordu.

#### – Największy trawers jaskiniowy świata znów zwiększył deniwelację. Teraz to 1621 m. Poprzednio – w 1992 r. pokonywaliśmy 1473 m. Czy będzie przejście nowej całości?

– Nie wchodzi to w grę. Trzeba by zaporęczać cały ciąg Vogla (także ten do PL-2) i Lampo. W zestawieniu z trawersem przez N-132 (Verlorenweghöhle), nie byłoby zresztą trudniej. Nie ma tu takich ciasnot jak tam... W sumie cały główny ciąg systemu wymaga około 4500 m lin, a nagromadzenie trudności w zestawieniu np. z Jean-Bernard jest nieporównywalnie większe.

#### – Powiedz jeszcze, jak się czujesz, osiągnąwszy po ponad 20 latach eksploracji w Lampo szczyt światowych możliwości?

– No wiesz, trochę mi głupio. Bo jednak utrata celu jest pewnym ciosem dla psychiki człowieka. Ale dla mnie od pewnego momentu nie miało to już znaczenia. Nie chodziło o rekord, a o połączenie z Peelką. Uzyskaną deniwelację policzyłem po połączeniu. Ja tego wcześniej nie liczyłem – rozumiesz?

*W tegorocznej wyprawie KTJ PZA udział wzięli: z KKTJ – Andrzej Ciszewski (kierownik), Marcin Czart, Wojciech Czesak, Czesław Dąbrowski, Ewa Kotarba, Stanisław Kotarba, Jan Kućmierz, Paweł Migala, Henryk Nowacki, Marcin Pruc, Anna Przeniosło, Rafał Suski, Stanisław Wasyluk, Ewa Wójcik; ze Speleoklubu Warszawskiego – Tomasz Fiedorowicz, Anna Gajewska, Marcin Gala, Jakub Panek i Krzysztof Recieliski; ze Speleoklubu Częstochowa – Jerzy Zygmunt; z STJ KW Kraków – Krzysztof Piksa oraz Przemysław Sękowski – z Łodzi.*

<sup>1)</sup> Ewa Wójcik

<sup>2)</sup> Henryk Nowacki

<sup>3)</sup> Michał Ciszewski – lat 10

<sup>4)</sup> Czesław Dąbrowski

<sup>5)</sup> Nebelsbergkar

<sup>6)</sup> Walter Klappacher – znakomity grotolaz salzburski starszego pokolenia. Jeden z najbardziej zasłużonych w austriackiej eksploracji Lamprechtsofen.

# Messner w Polsce

W dniach 15-16 maja 1998 po raz pierwszy w naszym kraju bawił Reinhold Messner. Wizyta wiązała się z promocją polskiego wydania jego książki „Na koniec świata” i finansowana była przez firmy „Muza SA” oraz „Alpinus SA”. Jednym z głównych punktów programu (oprócz wywiadów i bankietu poprzedniego dnia wieczorem w hotelu „Holiday Inn”) była konferencja prasowa w sobotę, 16 maja, na Międzynarodowych Targach Książki w PKiN. Współotwierający spotkanie Artur Hajzer podziękował gościowi za pomoc w pamiętnej akcji ratunkowej pod Everestem w 1989 roku i za zapraszanie polskich alpinistów na prelekcje na Zachodzie, wyraził też radość z faktu, że po latach wreszcie może odwzajemnić się zaproszeniem Messnera do Polski.

Z kolei Messner krótko opowiedział o swoich zainteresowaniach górskich i podróżniczych, wymienił też nową dziedzinę swej aktywności, jaką jest spisanie historii („kroniki”) rozwoju alpinizmu. Jak potem rozwinął to w odpowiedzi na jedno z pytań, aż na trzech polach osiągnął maksimum tego, co dało się osiągnąć: we wspinaniu skalnym (solówkami w Dolomitach i wkładem w rewaluację dróg klasycznych), w himalaizmie, a ostatnio w wędrówkach przez piaszczyste i lodowe pustynie. Analizując przy pracy nad „kroniką” fenomen polskiego himalaizmu, doszedł do wniosku, że „musi poznać Tatry i poszukuje kontaktu z piszącymi polskimi alpinistami i dziennikarzami zajmującymi się alpinizmem”. Wymieniając polskich wspinaczy najczęściej raz wspominał Kurtykę (jako myśliciela, *thinker*), Kurczaba oraz niemal równie często Kukułkę, Zawadę i Wandę Rutkiewicz.

Początkowe pytania były naiwne, np. „Czy nie koczyła Pana płd. ściana Lhotse”, „Jak pan sądzi, czy Wanda Rutkiewicz miała szansę zdobyć wszystkie ośmiotysięczniki?”. Pytano też o zdarzenia najstraszniejsze i najbardziej zabawne w karierze, tryb życia między wyprawami, sporty uzupełniające itp. Istotne jest, że Messner dawał bardzo dobre, wyważone, ale zarazem jasne odpowiedzi,



Fot. G. Głazek

starając się przy tym coś tłumaczyć z najistotniejszych spraw alpinizmu. Przy zbyt naiwnych pytaniach („czy Pan się nie bał?”) dość szybko jednak odsyłał do swoich książek.

Znakomite były jego wypowiedzi o ostrożności i rozwadze (doceniają je ci, którzy prowadzą zajęcia na kursach wspinaczkowych). Właściwie stał się jakby orędownikiem rozwagi, chłodził ekscytację dziennikarzy. „W naszym zachodnim świecie popełniamy ten błąd, że sztucznie rozdzielamy strach i odwagę, gdy w rzeczywistości są one częścią tego samego”. „Tylko ta sytuacja, gdy wspinacz potrafi w sobie zrównoważyć strach i odwagę, jest dobra. Wspinacz, który zaczyna odrzucać tę formułę, nie wróci”. Zwracał uwagę nacisk, jaki kładł na wycofanie się w porę, by nieudana próba nie oznaczała klęski, i by zachować siłę i wolę do ponownych starań. Swoje sukcesy ocenił tak, iż wcale nie sądzi by był lepiej przygotowany fizycznie od innych, miał natomiast zdolność wielokrotnie podnoszenia się po niepowodzeniach. Pytany o ośmiotysięczniki kończył kategorycznie: „Jestem bardziej dumny nie

z tego, że zdobyłem wszystkie 14 ośmiotysięczników, ale że je atakując, 12 razy się wycofywałem – po to, by móc próbować znowu”.

W zrównoważonej proporcji nastąpiły pytania bardziej fachowe. M.in. obszernie odpowiedział na pytanie o Česena na południowej ścianie Lhotse. Najpierw o wcześniejszym przyznaniu mu przez siebie nagrody Śnieżnego Lwa i 10 tys. dolarów za pń. ścianę Jannu w 1989 r. Następnego roku wydawało się, że nagroda znów należy się Česenowi. Gdy jednak Messner osobiście wysłuchał jego prelekcji w Wiedniu, dostrzegł szereg nieścisłości, np. dotyczących nierealnego okresu aklimatyzacji i dat przelotów, czy niezwykle dobrej pogody widocznej na slajdach i jednocześnie mowy o jej załamaniu (co miało przeszkodzić w zrobieniu zdjęć ze wspinaczki; z udzielonych w Polsce wywiadów Messnera wiadomo, że widać było Kangczendzongę, co zdarza się zaledwie kilka razy w roku). W tej sytuacji, jak mówi „dałem mu dwie możliwości: albo wyjaśni wszystko do końca, albo następnym razem dokona podobnego wejścia z jakimś znanym silnym wspinaczem, choćby ze Słowenii, Polski lub Rosji – jest ich wielu. Wtedy raz na zawsze zdławi wszelkie wątpliwości”. Jednak od 1990 roku Česen nie uczestniczył w żadnym podobnej rangi wycieczce, więc Messner na dziś swoją kronikę pisze tak, jakby pń. ściana Lhotse nie została pokonana samotnie.

Pytany o serię śmierci Polaków w Himalajach podkreśla, że najważniejszą odpowiedź musimy

wypracować sobie sami, u nas w kraju. On może natomiast podać tylko własne wytłumaczenie, wynikłe w trakcie pracy nad kroniką alpinizmu. Otóż zdaniem Messnera stale powtarza się to samo (*In the whole climbing history it was always the same*). Pewne grupy wspinaczy, skupione na ogół w niewielkich ośrodkach czy rejonach, z czasem stają się wiodące. I często w tych najsilniejszych grupach wiele osób naraz przesuwa granicę ryzyka w rywalizacji (*they pushed the limit really after the limit*). „Jeśli dołączają się do tego media, popycha ich to dalej poza dotychczasową granicę. Wielu z nich ją przekracza, robi to w końcu zbyt często, a ponieważ we wspinaniu wystarczy jeden błąd, giną. Jakby zapominają, że alpinizm jest sportem bardzo niebezpiecznym”. Messner wymienia wiodące grupy, w których nieuchronnie ginęli najlepsi: przed I wojną Wiedeńczyków i Monachijczyków, ogólnie Niemców w latach 30., Francuzów w latach 50. W Himalajach – Brytyjczyków w latach 70. i Polaków w latach 80, ostatnio, przez 8-9 lat Słowenców, z których niedawno także kilku zginęło.

„To nasuwa wręcz fatalną regułę: jeśli jakaś grupa czy kraj staje się bardzo silna w tej niebezpiecznej grze, śmierć wielu z najlepszych jawi się niemal jako konieczność. Być może musimy liczyć się z tym, że w przyszłości następne grupy mogą wpaść w tę pułapkę”. Rzecz warta zastanowienia (łatwo można znaleźć tatrzańskie analogie z przełomu lat 20. i 30.), wszyscy znamy też pokusę wyznaczania sobie z każdym sezonem coraz am-



Reinhold Messner przy stole konferencyjnym

Fot. G. Glazek



Fot. G. Głazek

bitniejszych celów i dostosowywania ich do osiągnięć kolegów, a nie do krytycznej oceny własnej formy.

O Wandzie Rutkiewicz mówił, że miał z nią bardzo dobre kontakty i była według niego najwybitniejszą ze współczesnych himalaistek, „tak naprawdę pierwszą kobietą, która miała wiele osiągnięć w Himalajach”. „Ale kiedy publicznie zapowiedziała, iż wszystkie pozostałe ośmiotysięczniki zdobędzie w ciągu jednego roku – wiedziałem, że już nie wróci”. Wszyscy to „wiedzieliśmy”, ale nikt tego dostatecznie głośno nie mówił, nie próbował uprzędzić tragicznego finału.

O himalaizmie zimowym – że Polacy są bezsprzecznie najlepsi etc. Ale kończy nieustępliwie: „zimę raczej kojarzymy z cięższymi warunkami niż w lecie, a w szczególności z większą ilością śniegu, i w tych warunkach jeszcze szczytów Himalajów nie zdobyto”.

Początkowo zmęczony, w miarę jak przekonywał do siebie nie znaną mu dotąd polską publiczność wyraźnie się rozkręcał, chętnie też przedłużył spotkanie. Zakończył: „Ponieważ z tej konferencji prasowej jasno widzę, że macie państwo w Polsce wielkie zainteresowanie dla alpinizmu i dotyczących go trudnych pytań, obiecuję, że przyjadę jeszcze do Polski w następnych latach z serią wy-

stąpień i chętnie z wami podyskutuję na ten temat”. Na to szef wydawnictwa: „A ja państwu obiecuję, że firma »Muza« wyda jeszcze książki pana Messnera”. Wypełniona po brzegi i stanowczo za mała sala zgotowała długie brawa na stojąco, czym Messner był już wyraźnie poruszony.

Po przejściu na stoisko wydawcy ponad godzinę podpisywał książki, aż do ostatniej chwili przed odlotem. Chętnych czekało ok. 600 osób, rekord tegorocznych Targów (po autograf noblisty Vargasa Llosy stało „tylko” 500 osób). Niecodziennym był widok 5 ochroniarzy osłaniających stoik przed kolejką czytelników, ale Messner cierpliwie znosił napór chętnych i wsłuchiwał się w ich życzenia. Miłym akcentem była obecność obok niego pani Marii Błaszczewicz, mamy Wandy Rutkiewicz – część osób prosiła o autografy oboje (także na innych książkach, np. polskich albumach himalajskich).

Pobyтови Messnera towarzyszyło znaczne zainteresowanie mediów. Główne wydanie „Wiadomości” wśród informacji z Targów 16 maja mówiło o nim zaraz po Llosie i Daviesie, „Panorama” na miejscu pierwszym. Dzień wcześniej można było obejrzeć program telewizyjny z udziałem Messnera i Leszka Cichego.

Po wizycie ukazały się dwa obszernie wywiady – w „Rzeczpospolitej” z 18 maja 1998 (Monika Rogozińska) i „Gazecie Wyborczej” z 23-24 (Radosław Leniarski).

**Szersze wrażenie z wizyty:** Messner jest w każdym calu profesjonalistą, zarówno umie wypowiadać się w sposób bardzo dobrze wychodzący na prelekcjach i w mediach, jak i cechuje go wysoka odpowiedzialność za słowo. W trakcie godzinnej, spontanicznej konferencji ani razu nie popełnił nieścisłości czy przeinaczenia. Wszelkie uproszczenia wypowiedzi były trafne i ewidentnie podyktowane koniecznością klarowności dla mediów (choć nie zawsze wytrzymywało to próbę tłumaczenia). Konferencja miała doskonałego tłumacza, całymi akapitami oddającego sens wypowiedzi, mimo to parę rzeczy uległo spłyceciu i przekręceniu (przykładowo, wspomniany warunek postawiony Česenowi podał jako „powtórzy wejście”, o powtórzeniu napisano też w późniejszym wywiadzie dla „Wyborczej”; tymczasem Messner dokładnie powiedział „dokona podobnej rzeczy” – *do a similar thing* – co przecież drastycznie zmienia wykonalność warunku).

Także oba wymienione wywiady były interesujące i generalnie przychylnie, ale mimo wszystko zawierały niezręczności. Podobnie w telewizyjnej relacji z Targów, emitowanej po tygodniu, ukazały



się zbyt zaczepne fragmenty. Jakby media wyciągały na emocjonalne odpowiedzi i podawały je już wyrwane z kontekstu. Rozmówcy potem to tylko powierzchownie łagodzą, szybko przechodząc do innych wątków. Pozostały jednak wyróżnione, prowokacyjne cytaty – czasem nawet nie powtórzone w tekście głównym, wskutek czego pełny i całkowicie do przyjęcia kontekst jest trudny do uchwycenia nawet dla zorientowanego czytelnika (taki właśnie jest cytat pod wielkim zdjęciem „Kto uczynił Kukuczkę sławnym w Europie? Ja, a nie inni!”; można sobie jedynie dopowiadać, że chodziło o pracę z mediami). Podobnie nieadekwatny do treści drugiego obszernego wywiadu jest portret z podniesioną głową i odbiciem w oknach wieżowca (na szczęście niewielki). Tak jakby dziennikarze zbyt ostrzyli sobie zęby na Messnera i dopiero w miarę rozmowy łagodnieli, lecz wstępne „ustawienie” konwersacji ciążyło już nad całym materiałem, a nawet odradzało się na etapie ostatecznej redakcji. Jest to warte podkreślenia, ponieważ skądinąd (choćby z ostatnich wywiadów lub pamiętnego wywiadu z „Playboya” w 1990 r., tłum. „Optymista” nr 12) wiadomo, iż Messner „dostosowuje” się do poziomu dziennikarzy.

Niżej podpisany pozwala sobie jednak kategorycznie stwierdzić, że bez wysłuchania oryginalnego tekstu i temperatury interakcji, przy wszelkich wyrwanych cytatach na razie jest skłonny brać stronę profesjonalisty Messnera niż osób przekazujących jego wypowiedzi.

Bezpośrednie wrażenia z wizyty skłaniają też do jasnego uświadomienia sobie poziomu i dorobku



*Podpisywanie książek. Reinhold Messner z Marią Błaszczkiewicz*

*Fot. G. Głazek*

intelektualnego Messnera, także jako pierwszego alpinisty stawiającego na prawdziwie profesjonalny kontakt z publicznością przychodzącą na spotkania (choćby po dwa rzutniki na prelekcjach, staranny montaż, biegłe wypowiedzanie się w trzech językach). W połączeniu z jego wyrobieniem w postępowaniu z mediami daje mu to wciąż niedoścignutą pozycję, swego rodzaju silnej i niezależnej instytucji – co zapewne trudno znieść wielu jego rywalom i następcom, a także niektórym dziennikarzom.

Dziś też trzeba chyba ostrożniej podchodzić do wygodnych dla nas stereotypów sprzed lat, wypada może inaczej spojrzeć na pewne elementy himalajskiej rywalizacji Messnera z Polakami na początku lat 80., także na jego zabiegi o podtrzymywanie zainteresowania mediów i sponsorów. Dopiero od kilku lat doświadczamy praw rynku i w pełni wiemy co to znaczy. Lepiej także widzimy, jak wielu innych wspinaczy (dotyczy to nie tylko naszej strony) natrafiając na realne pokusy dużo bardziej straciło klasę.

Dodatkowo budzi zaufanie uprzejma, ale trafna i stanowcza rzetelność, z jaką Messner wyraża dziś swe oceny, oraz fakt, że on już właściwie niczego nie musi, ale jednak chce poznać na własne oczy góry Polski czy Słowenii, spotykać się z miejscowymi znawcami, by dopiero wtedy wyrobić sobie pogląd na fenomen himalaizmu tych narodów.

Dodajmy też, że to Messner potrafi w prostych słowach o nas samych oddać to, co niby wszyscy wspinacze w naszym kraju wiedzą, ale nikt nie podejmuje wysiłku mówienia tego szerokim odbiorcom. To on w końcu pierwszy głośno zaświadcza, że „dla niego największym polskim alpinistą jest Kurtyka, choć wiem, że polskie społeczeństwo wyniosło na piedestał Jerzego Kukuczkę”. My wszyscy to „wiemy”, ale nikt tego szerokiej publiczności cierpliwie nie tłumaczy. Podobnie to Messner musi podkreślić u nas publicznie rolę Kurczaba i Zawady (w tej właśnie kolejności, uwzględniając zasługi alpejskie) jako liderów, którzy dali tak dobre przygotowanie organizacyjne do gór wysokich, iż musiało to dać efekty w następnych pokoleniach.

Dzisiejsza dojrzałość Messnera jako osoby wypowiadającej się o tajnikach alpinizmu wobec szerokiej publiczności, w blasku reflektorów i na poziomie doskonałego wykładowcy uniwersyteckiego – za czym stoi przecież ciężka praca – budzi po prostu podziw, chyba nie mniejszy niż jego dawne wyczyny w górach.

## Nieco cytatów

Pozostając przy obu uzupełniających się wywiadach zasygnalizujemy niektóre ciekawsze wypowiedzi. Szczególnie warto polecić fragmenty, dające pierwszy polskojęzyczny tak dobitny opis sytuacji zaistniałej na wyprawie na Nanga Parbat w 1970 r. (przypomnijmy, bracia Messnerowie jako obywatele pld. Tyrolu, czyli Włoch, byli gośćmi na austriacko-niemieckiej wyprawie i ich wejścia szczytowego nie planowano, nie czekano potem na ich powrót). W „Wyborczej”:

„Tych dwóch ludzi szło naszymi śladami, osiągnęli szczyt, nie zobaczyli nas tam, ale nawet nie rozglądali się specjalnie. (...) W bazie przygotowali dokument, że pierwsze wejście ścianą Rupal zostało dokonane przez Niemca i Austriaka. Zrobili to, mimo że znaleźli rękawiczkę mojego brata na szczycie (...). Stwierdzili, że rękawiczka należy z pewnością do Hermanna Buhla, który ją tam zostawił w 1953 r. Zrobili sobie zdjęcia, na których są również – w tle – ślady naszych butów na szczycie. Ale mówili potem, że ślady zrobił Buhl”.

Wcześniej w „Rzeczpospolitej”:

„Nikt nie wiedział, co z nami się stało, ale też nikt nie próbował się dowiedzieć. Lider ekspedycji stwierdził, że nie żyjemy i zarządził odwrót do domu. Żaden z kolegów nie powiedział »Musimy ich poszukać« (...) Później tłumaczyli się, że nie mieli szansy nas odnaleźć (...) Jeszcze później – że nie bardzo rozumieją, dlaczego tak postąpili”.

W „Wyborczej” znajdziemy też zdania, które starczą za podsumowanie długich rozważań o niedawnych tragediach np. w 1986 na K2 i 1996 na Evereście:

„Człowiek jest tak skonstruowany, że pomaga partnerom, jeśli to możliwe. Jeśli nie ma możliwości, nie pomaga. (...) Na Evereście w 1996 roku na pytania było za późno. (...) Jeśli ktoś umiera, jest za późno. (...) Ale granica między życiem i śmiercią jest w górach bardzo cienka i łatwo się pomylić w ocenie”.

Przechodząc do lżejszych tematów i braku złudzeń co do mediów („Rzeczpospolita”):

„Uwielbiam występować w telewizji, szczególnie na żywo. Wszystko tam jest w moich rękach, bo zawsze mogę odpowiedzieć. Stosuję takie same metody jak mój rozmówca; jeśli nie gra fair, ja czynię to samo”.

„Z gazetami jest tak, że jeśli np. »Spiegel« pokaże jakąś historię w określony sposób, to

»Stern« za tydzień zrobi to całkiem odwrotnie. Ja zaś specjalnie okrywam całe wydarzenie mgłą niedopowiedzeń (...) Dopiero w swoich książkach wyjaśniam prawdziwy przebieg wypadków. (...) Jak widać robię to z powodzeniem, skoro dotychczas sprzedałem pięć milionów książek”.

Czyż dzięki temu nie inaczej popatrzymy na rozgrywanie przez Messnera publikacji po swojemu?

„Wielkim błędem większości alpinistów jest to, że siedzą w bazach, gawędzą cały rok na temat wspinania i nic nie robią. (...) Wydanie nowej książki zaraz po ekspedycji było dla mnie tak samo ważne jak wspinanie”.

Dodajmy cytat o wysokości honorariów za prelekcje, kiedyś wywołującej u nas przeciecz szok – dziś wypada sobie uświadomić, że podszyty także zazdrością.

„Zależy kto mnie zaprasza. To jest rynek. (...) Za publiczny występ nigdy nie dostanę 10 tys. dolarów, ponieważ nie jest to cena rynkowa. (...) Lubię prelekcje (...) podczas których poza mną zarabia ten kto je organizuje. Jeśli zażadam zbyt wiele i organizator nic nie zarobi, nie zaprosi mnie następnym razem”.

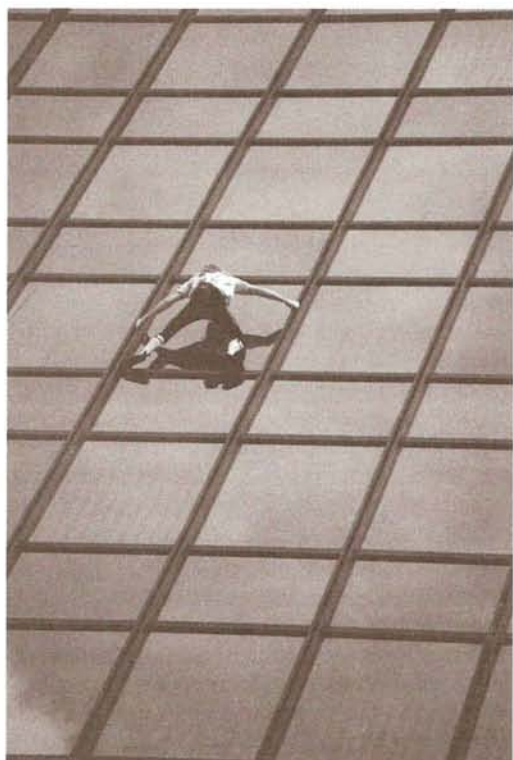
Nasze media starały się jakoś „zobiektywizować” rozbieżne opinie i relacje. Np. we wspomnianym wywiadzie w „Wyborczej” przy opinii o najlepszych Polakach w nawiasie wtrącono liczby nowych dróg na 8-tysięczniki, wytyczonych przez Kukuczkę i Kurtykę, sugerujące przeciwną hierarchię niż podał Messner. W sąsiadującym felietonie cennionego na ogół Zdzisława Ambroziaka znajdujemy inną próbę „obiektywizacji”:

„Bywa tak, że po powrocie z gór wspinacz jest jedynym świadkiem we własnej sprawie. Takie sytuacje zdarzały się nie tylko Messnerowi. Jednakże tylko on tak otwarcie kwestionuje relacje innych samotników. Wizerunek jedynego sprawiedliwego budzi wątpliwości, jeśli partnerom lub rywalom twarde zarzuca się oszustwa, samemu stawiając się poza wszelkimi podejrzeniami”. Słowem, Messner dostaje tu za publiczne i twarde przypiecztowanie sprawy Česena, w czym raczej wykazał się odwagą cywilną i dbaniem o interes wspólny niż zabieganiem o popularność.

Mimo wspomnianych drobnych zastrzeżeń i niuansów (dodajmy, wobec których nie uprawiający alpinizmu dziennikarze są często bezsilni), oba cytowane wywiady powinny stać się lekturą obowiązkową polskojęzycznego czytelnika zajmującego się górami wysokimi. Nam zaś wypada życzyć sobie w kraju alpinistów traktujących swą publiczną rolę tak solidnie jak Messner.

(gg)

# Marriott Tower – wspinaczka wśród szkła



*Alain Robert na ścianie Mariotta.*

*Fot. Dawid Kaszlikowski*

„Szklane góry” dotąd były dla alpinistów tylko pojęciami symbolicznymi, ideałami niedostępności. Za sprawą współczesnej architektury i zwolenników „urban climbing” wspinaczki na szklane wieże stały się faktem.

**Alain Robert**, najstynniejszy przedstawiciel tego nurtu w wersji „solo free”, w środę 3 czerwca pokonał północną ścianę hotelu „Marriott” w Warszawie. Czas przejścia ok. 20 minut, wysokość ściany 147,5 metra i 42 piętra od powierzchni ulicy – z czego ponad 12 m trzeba odliczyć na dwie

dolne kondygnacje z tarasem – w pionie to Zamarła Turnia liczona od najniższego punktu do szczytu. Sekwencja ruchów jednego piętra ma trudności 6c, całość 7a lub więcej. Dłuższy odpoczynek był możliwy na głębokich podchwytach w połowie (neon LOT-u), obawy budził natomiast odcinek końcowy z wyjściem na dach. Trudności stanowi ciąg okien o szerokości ok. 150 i wysokości 180 cm, oddzielonych przeszło centymetrowymi listwami metalowymi, listwy boczne są dużo szersze i korzystnie zagięte. Optymalna, dająca się zautomatyzować technika polegała na charakterystycznym chodzeniu „na ukrzyżowanie”, z jednoczesnym wykorzystaniem dwóch listew bocznych i rozpieraniem nóg między nimi.

Cała impreza miała dość dramatyczny przebieg, wejście planowano dzień wcześniej po godzinie 21, z transmisją na żywo w programie „Tok Szok”. Według proszących o anonimowość dziennikarzy, źle przysłużyła się ekipa telewizyjna, instalująca ze znacznym wyprzedzeniem kamery oraz jedna z gazet codziennych, „nieoficjalnie” informująca o miejscu akcji. Ochrona na wiele godzin przed próbą dokładnie znała twarz Roberta, nie interesowała się innymi osobami. Dodatkowo chyba nieco zawiodła wyobraźnia organizatorów medialnej oprawy przedsięwzięcia, np. kilku wspinaczy „w cywilu” miało odwracać uwagę ochrony i policji od „właściwych” zawodników, ubranych w jaskrawe kolory firmy sponsorującej. Zbyt frontalne przeciwstawianie się ochronie nie dało jej honorowego wyjścia. Podobno nawet doszło do kilkunastosekundowej szarpaniny, w wyniku której Roberta ściągnięto za nogi z dwóch metrów. Jednemu z fotografujących wytracono drogi aparat (odratowany). Inny dubler został formalnie powalony na ziemię (ściślej, żwir na dachu tarasu startowego). Według pewnych ocen Alainowi niezbyt podobała się cała ta presja mediów i niemal prowokowanie ochrony.

Następnego dnia po południu załatwił sprawę tak jak wiele razy dotąd. Moment nieuwagi – skorzystał z najmniej strzeżonego, bo obserwowanego

przez kamery odcinka – przewieszka na taras, bieg do ściany i zanim ochrona się połapała, Robert już był wysoko i mógł odpocząć. Poruszał się stale czwartym rzędem okien od prawej. Tym razem dziennikarze dostali cynk niewiele minut przed akcją, telewizja ledwie zdążyła. Dodatkowo uwagę mediów odciągał bohater pierwszego dnia, Jacek Jurkowski, ostentacyjnie udzielając wywiadu. Łagodzenie atmosfery opłaciło się, policja po 2-godzinym przesłuchaniu wypuściła Roberta, z jednej strony udzielając upomnienia, z drugiej gratulując i śladem ochroniarzy prosząc o autografy. Zdania na temat tego, czy ochrona rzeczywiście chciała go zatrzymać, są podzielone. Znacząca była różnica jej zachowań przed obiektywem i poza nim. Gdy Alain już się wspinał, nie zablokowano dostępu na dach jego polskiemu adwokatowi ani dwóm organizatorom, „na wszelki wypadek” czuwającym nad przejściem, ochrona jedynie zabrała wchodzącym na dach aparaty. Ekipa wspinaczy i z reguły wyżsi o głowę ochroniarze „po występach” spokojnie rozmawiali przy kawie. Dyrekcja „Marriott” nie zezwoliła na wejście, ale i nie złożyła skargi.

Bohaterem pierwszego dnia stał się Jacek Jurkowski, jeden z trzech dublerów (obok Sebastiana Zasadzkiego i Grzegorza Grochała) usiłujących odwrócić uwagę ochrony. Po zapoznaniu się ze specyfiką wspinania, próbując rozmaitych technik i całej szerokości ściany, w ciągu ok. 20 minut doszedł w pobliże 12 piętra. Po czym, przy wyraźnym już zaniepokojeniu kolegów, wycofał się po własnych śladach. Podobno miał pewne doświadczenie w zdobywaniu budynków, tu uznał, że może to być ostatnia okazja do zmierzenia się z „Marriottem”. Bezpośrednią przyczyną odwrotu była rozcięta o krawędzie ręka (Robert wspinał się z solidnie oklejonymi palcami, znał ścianę z krótkiej przymiar ki w marcu).

Rozmowę z Robertem najpierw zamieścił stołeczny dodatek „Gazety Wyborczej” z 3 czerwca, obszerna relacja ukazała się dnia następnego (fachowym piórem Marcina Jamkowskiego, wspinacza skalnego i dziennikarza, który według słów samego Roberta pierwszy do niego dotarł i przekonał go do przyjazdu do Polski). Wywiady publikowały także „Wprost” (z 14 czerwca, bardzo wnikliwy, Joanna Kostyła) i inne tygodniki ilustrowane, własną rozmowę i sesję zdjęciową zamieszcza wrześniowy „Cosmopolitan” (pismo dla kobiet). Sponsorem imprezy o budżecie ocenianym na ok. 100 tys. zł (cena ledwie kilku minut reklamy w telewizji) był „Alpinus”, realizacji celów reklamowych podjęła się agencja „Excentric” Tomasza Wysokińskiego, prywatnie także wspinacza skalnego. Przed 20 czerwca ukazał się bardzo udany plakat re-



*Alain Robert*

*Fot. Dawid Kaszlikowski*

klamowy „Alpinusa” ilustrowany zdjęciami z przejścia (największe autorstwa Dawida Kaszlikowskiego). Zaś 6 sierpnia Robert podpisywał w „Empiku” przy rondzie de Gaulle’a w Warszawie swoją pierwszą książkę „Piętno ryzyka”, wydaną nakładem firm sponsorujących wkrótce po edycji francuskiej (adresowaną do tzw. szerokiego czytelnika). Stosunki z ochroną „Marriott” poprawiły się na tyle, że 12 sierpnia możliwe było filmowanie „dokrętek” z wejściem Alaina na dach (spuszczono go z góry i ostatnie piętra przeszedł znów solo). Na wszelki wypadek Robert już przymierzył się do innego warszawskiego budynku.

**Komentarz:** pierwszego dnia rzecz mogła wywołać konsternację. Próby wodzenia publiczności i mediów za nos, grono „wtajemniczonych”, którzy mówili, że wiedzą gdzie, ale nie powiedzą. Straż pożarna w pełnym rynsztunku oczekująca z monstrualną drabiną, wielotysięczny tłum dający szczyre doping (a po wypuszczeniu obnoszący Roberta na rękach). Reporterzy-wspinacze forsujący przewieszkę 6c na taras, kolejny żałośnie spadł...

W telewizji zawiódł program „Tok Szok” na żywo. Wśród gości autorytetami byli wyłącznie zdo-

bywcy ośmiotysięczników (Leszek Cichy, Janusz Onyszkiewicz, Piotr Pustelnik) i najlepszy polski kierowca rajdowy Krzysztof Hołowczyc. Obok niewielu ciekawszych opinii zbyt często padały wyjątkowo niefortunne wypowiedzi typu „zupełnie nie znam kwalifikacji Roberta” albo „ja też się wspinał, Kilimandżaro, Mount Vinson” – w kontekście pionowego free solo. Rajdowiec zauważył, że on 100 metrów pokonuje w dwie sekundy (czy chciał podkreślić, że to krócej niż spadek swobodny z tej wysokości?). Z innych ekspertów niepokoił nieskładną wypowiedzią antropolog, jedynie końcowe porównanie Roberta do linoskoczka warte jest zastanowienia. Najprzystojniejszy był psychiatra, stwierdzając, że nie może oceniać czy dawka strachu u solisty mieści się w normie psychicznej, nie orientując się w stopniu jego wytrenowania. To może najbardziej pocieszające z całego programu: ryzykownego hobby wspinaczy naukowo już u nas nie rozpatruje się w kategoriach dewiacji. Natomiast całkowicie niezrozumiała była nieobecność w studio jakiegoś wspinacza skalnego, najlepiej solisty lub osoby tak wszechstronnej jak Kurtyka czy Messner. Pośrednio dowodzi to, że jest jeszcze wiele do zrobienia w zakresie tłumaczenia mediom i publiczności, o co w tym wszystkim chodzi. Nasi himalaiści przychodzą do studia w pełni zdając się na rozeznanie prowadzących, którzy z kolei zdali się tylko na nich.

Z pewnego dystansu czasowego i na plakatach wszystko wyszło ciekawie i sympatycznie, zwyciężył alpinistyczny, a nie uliczny wymiar happeningu (także dzięki postawie Jurkowskiego). Zaś w czasie wieczornej próby wśród tłumu można było dostrzec dziesiątki starszych i młodszych wspinaczy, którzy od lat nie mieli okazji do spotkania. Podkreślić też, że było to pierwsze tak medialne rozebranie wspinaczki solowej w naszym kraju. „Alpinus” zaś kilkomiesięcznymi ostatnimi akcjami udowodnił, iż jeśli chodzi o promocję wspinania, w Polsce jest już osiągalne praktycznie wszystko.

Alain Robert (ur. 7 sierpnia 1962, 164 cm i 49 kg) wspina się od 22 lat. W 1982 roku miał bardzo poważny wypadek przy wspinaczce z liną, ale wbrew sceptycyzmowi lekarzy wrócił do wspinania. W skałkach osiągnął solo poziom bliski 8b (jako jedna z dwóch osób na świecie). Jeszcze bardziej jednak zmrozić mogła solówki z wyjątkową klasą, takie jak „Poł Pot” w Verdon (7c+, 1997, wiele wyciągów „z kluczeniem wśród drobnych chwytów, nie polecana dla osób niskich”). Z liną pokonał 8c RP i 8a OS, ale od kilku lat nie koncentruje się na śrubowaniu trudności czysto technicznych. Rekordy treningowe to 8 podciągnięć „z pełnego zwisu” i 70-80 pompek na jednej ręce. Jak przyznał się

w jednym z wywiadów, w domu ćwiczy wytrzymałość i odporność na zmęczenie wspinaczką z nożami na sztorc pod ścianką. Od lat używa butów „Boreala”, na budynkach model „Indo”. W przypadku parnej pogody – a tak było na „Marrioticie” – poprawia przyczepność podeszew specjalnym sprayem firmy „One Sport”. Długo też współpracuje z „Mammutem” (to właśnie Roberta, efektywnie odpadającego ze ścian Verdon, widać na najbardziej znanym zdjęciu reklamowym tej firmy).

Solowymi wejściami w miastach zajmuje się zawodowo od 1994 roku, kiedy to produkująca zegarki firma „Sector” poprosiła go o wspięcie się na budynek w celach reklamowych, jak planowano, z asekuracją. Okazało się jednak, że wspinaczki z liną, wymagające uzgodnień i zezwoleń, w praktyce są trudniejsze do zrealizowania niż solo bez uprzedzenia. Na ogół przed przejściem Robert zapoznaje się z konkretną formacją, pokonując na próbę choćby kilka metrów.

Pierwszą jego zdobyczą był 270-metrowy Canary Wharf w Londynie. Łącznie ma na koncie już blisko 50 smukłych konstrukcji, od najwyższego



Jacek Jurkowski w rozmowie z Jackiem Żakowskim, współautorem programu „Tok Szok” i pamiętnych „Rozmów o Ewercście”.

Fot. D. Kaszlikowski

budynku na świecie Twin Tower (450 m) w Kuala Lumpur w Malezji po 23-metrowy egipski obelisk na Placu Zgody w Paryżu. Najtrudniejsze obiekty wymagały bardzo wytrzymałościowej wspinaczki naróżnikami budynków lub w rysach między ciągami okien. Szczególnie pamiętny był dla niego 55-piętrowy szklany wieżowiec z wielkimi oknami Blue Cross w Filadelfii (zob. T. 1/98), o niespodziewanie pogarszającej się z wysokością konfiguracji. Niedawno zdarzyło mu się też odstępować od celu z powodu trudności technicznych – gdy w budynku w Dallas przed ostatecznym atakiem zastał wypełnione silikonem spoiny. Warszawski hotel był podobno względnie łatwy technicznie, natomiast „ściągnięcie” z początku ściany Robertowi dotąd się nie zdarzało. Jedynie w Singapurze zdjęto go przez otwarte okno w 3/4 ściany, zaś na wieży Eiffla w sylwestra 1996/97 strażnikom zbyt natarczywie (z linami i sieciami) próbującym przerwać wspinaczkę musieli krzyknąć: „jeśli chcecie mnie zabić, to zdążycie jak skończycie”.

Kontrakt za jedno wejście opiewa czasem na 10-15 tys. dolarów (tak było w przypadku „Marriotta”), za co Robert utrzymuje pięcioosobową rodzinę (ma trzech synów). Mimo że zwracał się do kilku firm ubezpieczeniowych, żadna nie zdecydowała się zawrzeć z nim umowy, wspina się więc nie ubezpieczony podwójnie. Niektórym zdobywcom towarzyszy krótka odsiadka, zdaje się że w kalkulowana w przygodę. W USA, gdzie zdobył najwięcej budynków, jako osobnik „często zakłócający porządek publiczny” znalazł się w policyjnej kartotece, nawet z pseudonimem. Bardzo popularny jest w Brazylii, a najbardziej w Malezji, gdzie mu nie zabraniają wspinaczek. W Moskwie nie podjął próby – podobno ochroniarze zapowiedzieli, że będą strzelać.

Wedle jego słów, znaczna część jego pierwszej książki powstała w więzieniu, gdy jeden ze sponsorów 10 dni zwlekał z wpłaceniem kaucji. Ostatnio Robert marzył o Overseas Union Bank w Singapurze – ale tam odsiadka byłaby zapewne wielomiesięczna, a Alain ma na razie pomysł tylko na jeszcze jedną książkę.

Spośród terenów naturalnych najbardziej lubi Verdon, w planach ma też solo 800-metrowej Salathé Wall na El Capitan (5.13b ukłasyfikowana przez Todda Skinnera i Paula Pianę w 1988 r., nieliczne czyste powtórzenia, np. braci Huberów niezależnie). Jak sam mówi w jednym z wywiadów, nad tradycyjnymi alpinistami ma niezwykłą przewagę – nigdy nie zabraknie mu atrakcyjnych celów. Jeśli zdobędzie wszystkie trudne budynki, zawsze gdzieś może powstać nowy.

## Konkurs poetycki o wspinaczu

Tego jeszcze u nas nie było – solo free w strofach poetów i to w półmilionowym nakładzie. Magazyn „Gazety Wyborczej” w rubryce „Czytelniczy do pióra” prowadzonej przez tzw. Probiereczyka (chwilowo przez jego p.o.) rozpiął konkurs na najlepszy wiersz o człowieku-musze-pająku na szkle. Wyniki ogłoszono w numerze 30 z 24-25 lipca 1998. Zwyciężył wiersz p. Jacka Piotrowskiego z Krakowa:

*Gdzie pion  
tam On  
przez strach  
na dach  
bez lin  
się wspina  
gdy  
tłum drzy  
nie spaść  
w prze-paść  
wciąż się  
gdzieś pcha  
Monsieur  
Mu-Cha!*

Autor tego wiersza już 4-krotnie wygrywał konkurs Probiereczyka. W rozmowie przyznał, że przed laty także „liznął” wspinania, m.in. z Andrzejem Skwirczyńskim, który wciągnął go na Iglicę w Dolinie Będkowskiej. Zacytujmy jeszcze fragmenty dwu z dalszych pięciu wyróżnionych wierszy. Korzystne dla wspinaczy przewartościowanie dał p. Jan Ziarko ze Sztumu:

*(...) Nastal dla was poeci czas żalu i skruchy  
Za to, żeście w swych odach nie chwalili muchy.  
Bo nadszedł wiek herosów, u których sen złoty  
To nie są końskie szarże ani orle wzloty.  
Właśnie mucha im miarę wielkości wyznacza,  
Kiedy idą po ścianie aż na dach drapacza.(...)*

Niepoprawnym sceptykom dedykujemy refleksyjne zakończenie p. Jana K. Kowalewskiego z Warszawy:

*(...) Zniwoleni ciężarem, co przy ziemi trzyma,  
Patrzmy, kędy pomyka twa postać pajęcza  
I ręce wyciągamy do ciebie, olbrzyma,  
(...) Już on w niebie!  
I na świat się rozgląda, bo wszędy zastynał...  
A my, tu na dole? Widzimy tylko siebie...*

(przedruk wierszy za zgodą Redakcji „Magazynu” i laureata) (gg)

# Diabelska Wieża

Ogromne płatki śniegu powoli opadające w światłach reflektorów na gładką czerń autostrady zamieniają się nieoczekiwanie w zielonkavo-krwawą miazgę na przedniej szybie samochodu. To miliony ciem na swej samobójczej pielgrzymce ku światłu. Zmęczenie daje o sobie znać. Nie pomagają wypalane jeden za drugim papierosy ani ogłuszający ryk „The Cure” ze wszystkich kolumn.

Powieki ciężą niebezpiecznie. Przede mną jeszcze ponad tysiąc kilometrów drogi do celu, północno-zachodniego zakątka stanu Wyoming. Kolejny papieros, kolejny „numer” Smitha świdrujący w uszach, wokół zalane nocą prairie amerykańskie. Muszę odpocząć.

Szósta wieczór, dojeżdżam do Moorcroft. Osada „typical american” – parę rozlatujących się, drewnianych szop, kilka mobil-homes, bar i zarzewiała stacja benzynowa. Zjeżdżam z autostrady przy ogromnej tablicy z napisem „Devil’s Tower National Monument”. Otoczenie zmieniło charakter. Płaskie, spalone słońcem prairie ustąpiły miejsca niewielkim, porośniętym rachitycznym laskiem pagórkom.

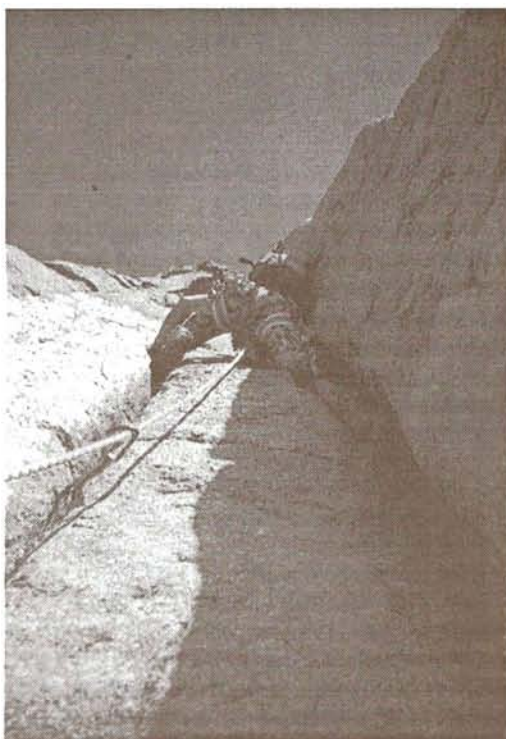
Nic tu jednak nie zapowiada istnienia jakichkolwiek skał. Z coraz większym zniecierpliwieniem osiągam szczyt kolejnego pagóra i... oto ona. Zalana promieniami zachodzącego słońca, odcinająca się krwawą czerwienią od ciemnej zieleni doliny – Diabelska Wieża.

Pomimo zapadającego zmierzchu szybko wyrzucam swoje graty na ostatnim wolnym miejscu campingowym i krętą, leśną drogą jadę pod samą podstawę „skałki”. Teren wokół pieczętowiecie zagospodarowany, kioski, pamiątki, hot-dogi, ogromny parking dla autokarów, a nawet niewielki amfiteatr, gdzie rangersi objaśniają „ceprom” m.in. w jaki sposób ci „szaleńcy ze sznurkami” wygramalają się na wierzchołek. Od razu widać, że chodzi tu przede wszystkim o wyciągnięcie jak największej ilości szmalu od przewalających się tłumów. Komforto-

wą, częściowo wyasfaltowaną ścieżką obchodzę skałę dookoła.

W świetle księżycy wygląda tajemniczo i groźnie. Srebrno-czarne kominy, rysy, szczeliny i zacięcia.

Olbrzymie kolumny miejscami ciągnące się aż do wierzchołka, miejscami spękane i pochylone, czekać zdają się na dotyk ręki tylko by runąć w dół podejść, żadnych problemów zejściowych (przygotowane stanowiska zjazdowe, skała lita, drogi przejrzyste – jednym słowem – „pure climbing”).



Andrzej Sadowy prowadzi na Devil's Tower

Devil's Tower to odsłonięty rzeń wulkanu, który stygnąc przybrał tak fantastyczne kształty.

Pierwszego wejścia na wierzchołek dokonało dwóch farmerów, używając drewnianych kołków wbijanych w rysy, zbudowało swego rodzaju drabinę umożliwiającą wspinaczkę. Praca ta zajęła im 6 tygodni, a pozostałości tej konstrukcji można obejrzeć po dziś dzień na południowej ścianie. W pełni alpinistycznego wejścia dokonał zespół pod wodzą Fritza Wiessnera 28 czerwca 1937 roku, również ścianą południową, drogą noszącą teraz jego imię.

Jak we mgłę dochodzi do mnie pobrzękiwanie sprzętu z sąsiedniego, ogromnego namiotu, zamieszkałego przez brodatych harcerzy w krótkich majtkach. Świta. Obawiając się legendarnego tłoku w ścianie porywam plecak i biegiem ruszam w górę. Przede wszystkim chcę wyjść na wierzchołek, w miarę możliwości więcej niż jedną drogą.

Pozostaje nie rozwiązany poprzedniego wieczora problem partnera. Na miejsce zasadzki wybieram półkę z książką wyjść (jedyne okaz w USA) przy ranger's station. Po chwili pojawia się dwóch młodych „tojanów” obwieszonych sprzętem jak choinki. Przedstawiają się jako studenci z Nowego Jorku.

Nie mają, co uczciwie przyznali, zbyt wielkiego doświadczenia, ale postanowili „zasiekać” „Durance” na ścianie południowej. Na moją propozycję utworzenia zespołu trójkowego przystają z trochę zbyt dużym entuzjazmem.

Kończymy wiązanie, gdy pod ścianę podchodzi, pokrzykując i pobrzękując jak alpejskie krowy, kilkunastoosobowa grupa znajomych skautów. Pierwszy wyciąg. Dwie równoległe, dość łatwe, ale diabelnie wyslizgane rysy, a potem „Leasing Column” wielkości sporej ciężarówki. Wiem, że po tym, nie wiadomo dlaczego trzymającym się ściany „kamieniu” przeszły tysiące ludzi, jednak dla świętego spokoju opukuję go ręką. Nie jest to najlepszy sposób na sprawdzenie jego stabilności, więc staram się go nie obciążać zbyt mocno. Stanowisko. Ściągam Boba aż lina trzeszczy, a następnie Jerry'ego, który nie mając zbyt dużego zaufania do kumpla domaga się mojej asekuracji. Drugi wyciąg – „Durance Crack”, najtrudniejszy, piątkowy odcinek drogi. Zacięcie po prawej i równoległa do niego rysa po lewej. Jedyne problem to mnóstwo starego żelastwa w rysie, o które pokaleczyłem trochę ręce. Upaść staje się nie do zniesienia, a my jak idioci bez

ropki wody. Jerry prowadzi. Po jednym wyciągu ma dość, więc dwa ostatnie do wierzchołka są moje. Mijamy grupkę, która sprawia wrażenie jakby przygotowywała się do biwaku. Pod nami robi się niesamowicie tłoczno. Dochodzą do nas pohukiwania harcerzy, którzy zagrzewają się wzajemnie do walki z „zerwą”. Jesteśmy na wierzchołku. Wpisujemy parę słów do książki, którą znaleźliśmy w metalowej tubie, wypalam papierosa i zbieramy się. Nie ma sensu tu dłużej siedzieć, spiekota okropna, widoki beznadziejne.

Zza krawędzi zachodniej ściany wyłania się postać odziana jedynie w buty i majtki, przy których dynda worek z magnezją. Gęba podobna do Crofta ale nie jestem pewien.

Zaczynamy zjazdy. Nie jest to takie proste. Na każdej półce po kilka osób. Jakiś palant blokuje całe stanowisko w środku ściany, robiąc wykład o asekuracji. Płatania lin i niemilosierne słońce. Wreszcie stały grunt pod nogami, umysł skoncentrowany na puszkach zimnego piwa. Wszędzie mnóstwo turystów, samochodów, autokarów, nagrany asfalt parzy w stopy. Bob i Jerry pakują samochód, jeszcze dzisiaj wyruszają na wschód. Pojawia się Kurt z Monachium, który słyszał, że szukam partnera, więc umawiamy się na jutro.

Proponuję „El Craco Diablo”, bo... podoba mi się nazwa.

„Diabelska Rysa” na wschodniej ścianie to w zasadzie dwuwyciągowa szóstkowa rysa, a ponad nią dwa łatwe wyciągi do szczytu. Prowadzę całe trudności, asekurując się dość mizernie ze względu na ograniczoną ilość dużych hexów, wymarzonych na takie miejsca friendów oczywiście z przyczyn finansowych nie mamy. Zupełnie nie pomyślałem o bandażach na dłonie, czego już po kilkunastu metrach bardzo żałuję, targam za to wielką butlę wody, co niewątpliwie podnosi psychę. Jeszcze raz wierzchołek, jeszcze raz zjazdy. Tłok i upał jak wczoraj.

Leżąc z Kurtem pod drzewem, pociągamy piwo ukryte w papierowych torebkach i gapimy się na zachodnią ścianę, oświetloną ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Oczywiście obaj postanawiamy tu jeszcze kiedyś wrócić, teraz jednak czas w drogę. Kurt wyjeżdża na zachód w kierunku Grand Tetons, a ja na południe. Mój następny przystanek – Boulder, Colorado.



# To se ne vrati

## ubiór wspinaczkowy w Peerelu czyli o paru rzeczach kultowych

„Dawne życie poszło w dal, dziś na zimę ciepły szal, tylko koni, tylko koni, tylko koni, tylko koni żal” – tak tęskniła w renesansie Peerelu Maryla Rodowicz.

Zaraz i my damy się ponieść tęsknocie za minionymi czasami (czytaj: pierwszą młodością) ale nie żal nam będzie koni tylko korkerów, a otuli nas nie szal tylko polar. Wrócimy pamięcią na odcinek wspinaczkowy, do czasów, gdy trzeba było zabezpieczać, załatwiać, kombinować i zdobywać. Przypomnimy sobie jak wyglądaliśmy w czasach, gdy na gruncie niedoborów rozkwitały społeczne inicjatywy, a to, czy wyjedziemy za granicę, zależało od wysokich czynników i członków z ramienia, a jeśli nie wyjechaliśmy, znaczyło to, że ktoś manipulował pod płaszczykiem. Za wspinanie przyznawano państwowe odznaczenia, a jedzenie na wyprawę przyznawano z centralnego rozdzielnika. Było i strasznie, i śmiesznie – ale czy trochę, no, tak troszeczkę, nie tęsknimy?

Tak więc pół godziny wspomnień i tęsknoty, ale tylko pół, bo „trzeba z żywymi naprzód iść” i jak mawiał tow. Gomułka: „Psi szczekają, a karawan jadzi dalej”.

Ramy czasowe – PRL to prawie 50 lat, jednak aż tak daleko się nie zapuszczam! W niektórych hasłach cofam się najdalej w lata 60., w niektórych opisuję jedynie to, co pamiętam ja sama lub moi rówieśnicy (ryczące trzydziestki i czterdziestki). Ilość osób z którym mogłam się konsultować była ograniczona (patrz: podziękowania), a pamięć ludzka zawodna, jeśli więc jakiegoś hasła nie znajdziecie lub coś jest opisane niedokładnie – bez nerwów, to nie encyklopedia, a za wszystkie sprostowania i uzupełnienia będę bardzo wdzięczna.

**Anorak** czyli falbana – ortalianowa kurtka z kapturem, najczęs-

ciej w kolorze brudnej czerwieni, szafirowa, pomarańczowa lub fioletowa, przemakalna, nie przepuszczała powietrza w żadną stronę. Często własnej roboty – Michał Kwaśny z Krakowa, szyjąc anorak podczas imprezki, przed wyjazdem na obóz, przyszył sobie kaptur z przodu, Janek Wolf natomiast wymyślił model anoraka z uprzężą wszytą w środku. Anorak sięgał do kostek, lecz na dole miał sznurek wciągnięty w tunel i po podkaszaniu (do wewnątrz) i zawiązaniu sznurka w pasie uzyskiwało się krótki skafander. Suwak składał się z dwóch części, na wysokości żołądka była dziurka na linę. Wyróżnić można było dwa typy anoraków: mały, przy ciele i obszerny biwakowy, który był szeroki na tyle, że siedząc w kucki można go było naciągnąć na kolana.

Po anoraku można było poznać prawdziwego człowieka gór.

Posiadanie anoraka to było coś.

Przez lata wspinacze mieli narty w pogardzie, lecz jeśli z braku pogody lub z nudów na nich jeździli, to tylko w anoraku i to przeważnie rozpuszczonym do kostek. Do dobrego tonu należały też



*Pamir — mamy tu polary własnej roboty, sweterki szetlandzkie i korkery*



*Ruda – rękawiczki z owczej wełny na pętelkach*

rozpięte i powiewające w pędzie poły. Potem anoraki wyparty wiatrochrony, a później kurtki i spodnie z mikrofazy i goreteksu, a jeżdżenie na nartach stało się bardzo popularne. Być może prastary egzemplarz anoraka ma jeszcze Andrzej Marczak, a na pewno Jerzy Brennejzen i Grzegorz Benke.

**Bularka** – koszulka bez rękawów. Teoretycznie zakłada się ją w dni gorące, w praktyce zakłada się ją nawet w dni chłodne po to, by pokazać muskuły (buły). Wyróżniamy dwa typy bularki: typ pierwszy wygląda jak tradycyjna podkoszulka noszona pod koszulą (ale nie białą), z tym, że typ „moderne” wycięty jest na plecach tak, że pleców właściwie nie ma, jest tylko cienki pasek. Typ drugi przybył do nas wraz z transportami egzotycznej bawełny i wygląda jak t-shirt, ale nie ma rękawów. (Prawdziwi kultmeni odrywali po prostu rękawy od zwykłych podkoszulek). Ten drugi typ, choć bardziej zabudowany, lepiej uwydatnia buły, ponieważ uwagi obserwatora nie rozprasza mniej lub bardziej owłosiony lub zapadnięty tors. W połowie lat 80. najpopularniejszymi kolorami bularek były różowy i turkusowy, czasem na torsie występował motyl lub inny ornament. Pierwszy typ bularek (ten powycinany) był i nadal jest popularny również wśród kobiet, ale

służy do eksponowania zupełnie innych walorów niż u mężczyzn.

### **Buciory**

*„Obowią niech nikt nie żałuje przywozić (w góry) jak najwięcej, i to tak silnego, aby wytrzymało zapasy z ostremi kamieniami tatrzańskimi, z błotem, z wodą, rosą i innymi przeciwnościami” – „Tatry” – Walery Eljasz, 1886.*

**Zawraty** – duże czarne skórzane buciory na wibracie. Legenda głosi, że Andrzej Zawada przywiózł z zagranicy Super Guidy, rozpruł, zobaczył co jest w środku i kazał uszyć zawraty na wzór. Legenda funkcjonuje też w drugą stronę, ponieważ Włosi zachwycili się butami, jakie zaprojektował Zawada na którąś z wypraw (filcowe do kolan), skopiowali i sprzedawali pod nazwą „One sport”.

W lecie wspinaliśmy się w zawratkach pojedynczych, a w zimie i w górach wysokich – w podwójnych. (Choć Janusz Kurczab wspinął się w podwójnych w skałkach, ćwicząc przed zimą). Botek wewnętrzny uszyty był ze skóry lub filcu, białego lub szarego. Gdy po wspinaczkę wyjmowało się botki i suszyło na piecu, notowano liczne omdlenia.

Zawraty nosili również co bardziej zajadli turyści.

**Poprady** – słowacka wersja zawratów, lepsze.

**Himalaje** – pojedyncze, na wibracie, z żółtej skóry (juchtowej), chętniej noszone przez panie. Aby buty nadawały się do użytku, trzeba je było najpierw zaimpregnować. Każdy posiadał swoją własną, jedynie słuszną recepturę impregnatu. Na ogół było to coś w rodzaju mieszaniny borsuczego sadła z olejem silnikowym. Po natarciu tym butów można je było, dla lepszego efektu, zapiec w piekarniku. Ileż serc niewieścich pękło, gdy po okrzyku: „Kochanie, zaimpregnowałem ci buty!” – zamiast eleganckich, nowiutkich i żóciutkich butów, oczom ukazały się czarne, tłuste buciory.

**Pionierki** – lekkie buty turystyczne na czymś w rodzaju wibratu, ze skóry, choć były podejrzania, że raczej z tektury. Lżejsze, a więc wygodniejsze od zawratów i himalajów, bardziej nadawały się do turystyki i (z braku innych) do wspinania w lecie. Kompletem do pionierek była pasta do butów, bo tylko regularne pastowanie, najlepiej przed każdą wycieczką, zapewniało im jaką taką nieprzemakalność. Pionierki były także częścią umundurowania harcerzy.

**Besкиды, tatarniki lub trapery** – (źródła nie są zgodne co do nazwy) teoretycznie lepsze od pionierek, bardziej brzydkie i niezgrabne. Nie miały już dziurek na sznurówki tylko metalowe haftki, a cholewkę na kostce z czegoś miękkiego (gąbka?) i przepikowanego.

## Buty osiągow

*„Do wspinania się w trudnym terenie (...) taternicy używają lekkich płóciennych trzewików skalnych o sznurkowej lub gumowej podszewie dzierżącej się znakomicie chropowatości granitów”.*  
*„Przewodnik po Tatrach i Zakopanem”, Mieczysław Świer, 1927*

**Adidasy** – oczywiście nie firmy „Adidas” tylko nasze pocziwe, krajowe substytuty, które podklejało się niezastąpioną mikrogumą. Były swego rodzaju przełomem, bo były lekkie. Nie każdy typ się nadawał; jedynie słuszne były te, w których guma, ta firmowa, nachodziła na palce.

**Gałoszki** – wynalazek radziecki. Efemeryda – kalosze nakładane na buty, odpowiednio powycinane i noszone na gołe nogi. Za małe – świetnie trzymały. Ulubione buty Rika Malczyka.

**Kleterki** (od niem. klettern – wspinąć się) – określenie lekkich butów do wspinania w skałę, z cholewką, zagranicznych. Były podklejane grubą mikrogumą, a ponieważ nie friction, na mokrej skałe nie trzymały wcale.

**Samolezki** – butki słowackie, z brązowego zamazu, lepsze, bo miększe i lżejsze adidasy na mikrogumie.

**Era korkera** – buty płócienne, bez cholewki, podobne do tramppek, przeznaczone do gry w piłkę nożną, a gdy się obcięło korki, zostawiając te pod piętą – wspaniałe i przełomowe letnie buty wspinaczkowe. Nie każdy korker się nadawał – niektóre miały grubsze, zakończone tak jak tenisówki przody – te odpadały. Korker właściwy miał czubki wąskie – a cech buta wyczynowego nabierał, gdy podkleiło się go mikrogumą. Takie korkery trzeba było zdobyć – rzucali je czasem do sklepu sportowego na placu Teatralnym (Warszawa) i wtedy kupowało się kilka par na zapas. (Niektórzy jeszcze mają te zapasy). Naprawdę czymś były korkery słowackie, bo zagraniczne i ładniejsze. W skałki, do ekstremalnych osiągow, kupowało się korkery za małe, a na góry w sam raz. Westmeni, którzy korkery używane w taki sposób widzieli po raz pierwszy, dziwili się, ale krótko, bo po spróbowaniu przyznawali, że to świetny pomysł. Można śmiało powiedzieć, że wkroczenie korkera spowodowało ogromne podniesienie poziomu polskiego wspinania zarówno w skałkach jak i w górach.

*„Miękki piłśniowy kapelus z szerokich kresach, barwy szarej lub zielonkawej, nadaje się bardzo dobrze. (...) Niestety staje się często igraszką wiatru na grani lub wietrznych przełęczach, zaopatrzony przeto być winien w taśmę do podpinania”, Janusz Chmielowski, „Przewodnik po Tatrach”, 1907.*

**Czapki** – choć noszone na tak eksponowanym miejscu, nigdy nie prezentowały się szczególnie ciekawie. Miały na ogół nieokreślony kolor, a kształtem przypominały rozciągniętą skarpetę. Były próby tworzenia na drutach np. kominiarek, ale były to próby rozpaczliwe. W zimie noszono anilanowe lub wełniane kominiarki produkcji krajowej, z daszkiem lub bez, czerwone, czarne lub granatowe. W pewnym momencie pojawiły się czapki ze Słowacji – z pomponikiem, na ogół kremowe z czarnymi, czerwonymi lub granatowymi wzorkami.

Jednym z najciekawszych okazów czapki tamtych czasów była czapka Krzysztofa Pilawskiego: do kominiarki robionej na drutach doszyto rozkoszne uszka z białego polara – resztek pozostałych po uszyciu spodni. Krzysztof Jankowski miał natomiast czapkę z pomponem przypinanym za zatrzaskę – pod kask pompon się odpięło, a pompon przy czapce Grzegorza Benke był na tak długim sznurku, że spod kasku wystawał.

Niektórym wspinaczom nieobce były wzorce zachodnie. Kilku z nich nosiło czapki takie, jakie nosił Don Whillans, prosty hydraulik z Londynu – rodzaj czapki z daszkiem przypominającej trochę, za przeproszeniem, leninówkę.



*Era korkera – Krzysztof Pankiewicz. Widać też uprzęż chałupniczej roboty.*

Jednym z pierwszych nosicieli takiej czapki był Bogumił Słama (szary tweed), potem widziano ten model na Wacławie Sonelskim (wersja letnia: łodzianin z Odessy) i Wojciechu Świącickim. W obu tych przypadkach nie udowodniono jednak jak głęboka była inspiracja D. Whillnsem, a jak głęboka B. Słama.

**Kangurka** – harcerska brezentowa kurtka w kolorze wojskowozielonym, z kapturem, zakładana przez głowę. Choć była ciężka i przemakalna, przez jakiś czas przydawała się na wspinaczkach i wycieczkach.

**Koszula flanelowa** – koszula w kratę, na ogół produkcji krajowej. Krata była zawsze bura i ohydna, jednak nawet Wojciech Kurtyka, kiedy zaczynał, taką koszulę nosił. Latem często było w niej za gorąco. Nie była to jednak tylko zwykła sztuka odzieży; założenie takiej koszuli było swego rodzaju deklaracją przynależności do pewnej subkultury ludzi gór, w domyśle – elity. Każdy, kto zaczynał chodzić po górach, niższych czy wyższych, taką koszulę kupował (oczywiście, również z braku innych możliwości). Jeśli chodzi o panienki – im obszerniejsza była koszula, tym bardziej kultowo się wyglądało. Była koszula również swego rodzaju



*Flanelówka, puchówka i uczucie*

nieuświadomionym wyzwaniem: jeżeli panienka, mając ją na sobie, nadal wyglądała porywająco, cały świat był u jej stóp. Dla brzyduli koszula była bezlitosna. Wbrew temu, czego można by oczekiwać, krata na koszuli flanelowej nigdy nie stała się ładniejsza – koszula po prostu zniknęła, choć, oczywiście, paru tradycjonalistów jeszcze ją nosi. Pojawiła się też inna odmiana koszuli – koszula wełniana, bardziej przypominająca kurtkę. Ten typ pochodził na ogół z zagranicy, był więc ładniejszy, ale za to rzadszy.

**Kurtyka Wojciech** – być może gdyby nie on, do dziś jeżdżilibyśmy w skałki i góry w anilanowych dresach i podkoszulkach w kolorze ścierki. Kurtyka, który na przełomie lat 70/80 wyglądał jakby szsedł

z planu musicalu „Hair”, wytyczył nowe kierunki we wspinaczkowej modzie męskiej i damskiej. (Osobiście przynajmniej, że był prekursorem noszenia przez mężczyzn kucyka). Indyjska bawełna i klejnoty Wschodu przyozdabiać zaczęły najpierw tylko himalistów i ich kobiety, a im dalej w lata 80. – wielu, wielu wspinaczy, choć byli tacy, co się oparli, ale też tacy, co przesadzili.

**Machnik Andrzej** – wspinacz, filozof i purysta odzieżowy. Przykład tego, jak można dać odpór trendom i tendencjom, a być kultmenem. Od początku kariery zachowuje standard odzieżowy: dżinsy (kiedyś zapewne „szariki”), koszula flanelowa, spodnie do kolan (dawniej), podkoszulka w kolorze nie pozostającym w pamięci. Po powrocie z podróży do USA można było zauważyć pewne rozluźnienie w jego stroju i wprowadzenie nowoczesnych elementów (płóciennie spodnie, bluza dresowa z napisem), ale jednak daleko mu było do oczarowania image'em ludzi z Yosemite'ów.

**Malinowski Piotr** – ratownik TOPR, wspinacz, narciarz, prowadził przez pewien czas „Betlejemkę”, postać kultowa. Umiejętnie łączył styl sportowy z folklorem innych krajów, przeważnie tych, z których właśnie wracał. Bransoletki i korale, apaszki i kapelusze to częste elementy jego strojów, które jednak w żadnym stopniu nie ujmowały mu męskości, a wręcz przeciwnie, sprawiały, że jego powodzenie u kobiet stało się legendarne.

**Pętla na nadgarstku** – pełniła funkcję jedynie ozdobną. Na początku rzeczą kultową były, z braku innych, pętliki ze słowackiej linki lawinowej. Potem, kiedy otworzył się przed nami świat, na nadgarstkach damskich i męskich zaczęły pojawiać się przeróżne kolorowe repiki pojedynczo i w większej ilości.

### **Plecaki**

*„Prawdziwy turysta zdrowy i krzepki sam nosi swoje rzeczy. Jest to bez wątpienia rzeczą wygodną objuczyć dobytkiem swoim wynajętego tragarza, któremu w razie upałów powierza się jeszcze i wierzchnią część ubrania. Cierpi jednak na tym znacznie uczucie niezależności i nierównowagi swobody, której w górach szukamy, a również i koszta wycieczki rosną znacznie”. Janusz Chmielowski, „Przewodnik po Tatrach”, Lwów, 1907.*

**Poezja horolezki** – obecnie mianem „horolezka” określa się każdy mały plecak, ale tak naprawdę obecne, nowe, pozbawione osobowości plecaki mają się do horolezki jak disco polo do poezji śpiewanej. Prawdziwa horolezka pochodzi ze Słowacji, uszyta była z płótna w kolorze khaki (potem z szafirowego dakronu), paski miała skórzane, te



„Blondyn”, Jarek Caban, w piekarskich spodniach

na ramionach podszyte filcem. Prawdziwa, stara, wypłowiała na słońcu horolezka to rzecz kultowa – pachnąca wiatrem, słońcem, trochę skałą, kojarzy się z czasami, kiedy wspinanie było odkrywaniem nieznanych łądów, przygodą, kojarzy się z wolnością, z nieznanym, z nie kończącym się, z rozświetlonym słońcem latem spędzonym w górach za jakieś marne pieniądze, z nowymi drogami, makaronem z mieloną i kisieliem po wspinaczce. Wyciągnijcie z pawlacza starą horolezkę, zamknijcie oczy i przytulcie do niej twarz – zrobi Wam się smutno, bo przypomni się Wam młodość...

**Duża horolezka** – większa od małej, a mniejsza od waciaka. Miała bardzo duży komin, co sprawiało, że niezależnie od sposobu jej spakowania środek ciężkości i tak wypadł nad głowę. Przeznaczona na zimę.

**Waciak** – duży plecak z brezentu plandekowego, z kominem, szyty przez niejakiego Stanisława Waciaka (kontynuator: Galaś), bardzo dobry na długie wyjazdy w góry. Według Andrzeja Machnika człowiek wyjeżdżający np. na Słowację wyglądał tak: na plecach miał wypakowanego do granic możliwości waciaka, na torsie wisiła wypchana horolezka, na karku spoczywał namiot, a w obu rękach siaty z jedzeniem na cały pobyt. Można było na szczycie waciaka nie do końca wypakowanego, umocować drugiego, mniejszego waciaka. W jed-

nym z numerów „Taternika” zamieszczono instrukcję, jak waciaka uszyć samemu.

**Dupniak** – epizodyczny plecak z zielonego cienkiego brezentu, bardzo szeroki, uszyty w zakładkach państwowych. Niezależnie od tego, jak ustawiło się paski na ramionach plecaka i tak wisił na wysokości siedzenia.

**Plecaki z filtrówy** – również epizodyczne, ale będące dowodem na to, że na gruncie niedoborów kwitło patenciarstwo. Filtrówy było to grube płótno filtracyjne używane w młynach, a przypominające dakron.

**Plecak na stelażu, nosiłki** – taki plecak to była rewolucja, szczyt nowoczesności i wygody. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, niczym takim nie był. O ile sprawdzał się jako tako w transporcie (czasem przywiązywano rzeczy do samego stelaża), do wspinania nie nadawał się wcale, tym bardziej, że pierwsze modele nie miały pasów biodrowych. Niemniej jednak, gdy chciało się pojechać w góry, taki plecak, wyprodukowany przez „Polsport”, kupowało się w sklepie sportowym. Pierwsze nosiłki robione były z prętów stalowych, a sam worek z brezentu plandekowego (Spółdzielnia „Tarnoskór” tzw. wór tarnowski), potem, z myślą o wyprawach, zaprojektowano stelaże z aluminium, a więc lżejsze (Instytut Lotnictwa i Zakłady Metali Lekkich w Kętach), a worki szyto z dakronu.

**Plecaki Janiny** – powszechną praktyką było szycie plecaków w domu. Pożyczano się od kogoś plecak zachodni, oglądało, kopiowało i wzbogacało o własne patenty, a po dakron jeździło się do Poraja pod Częstochową. Pierwsze profesjonalnie wyglądające plecaki zaczął na większą skalę szyc Stanisław Janina z Częstochowy (miał blisko po materiał). Cieszyły się dużym powodzeniem – zamawiano je nawet na wyprawy.

**Polar, polar-wear** (czyt. polarter) – materiał, również określenie kurtki lub bluzy. Po okresie przaśnoflanelowym i kilku latach wschodniego przepychu (patrz: Kurtyka) polar na dobre zdominował nasze stroje górskie, a czasem nizinne. Dawno temu, kogoś, kto był w Himalajach, można było poznać po tym, że miał polara – wygrzebanego z porzuconych baz innych wypraw bądź kupionego na Tamelu w Katmandu. Wtedy chyba musiało powstać przepełnione goryczą powiedzenie: „Jedni noszą polar-weary, inni swetrów od cholery”. Walka o polary zaczęła się więc toczyć również w kraju – co zdolniejsze koleżanki szyły kurtki z misia przywożonego ze Słowacji – a że były to na ogół materiały obciowe lub kapy na łóżko, kolory miały dziwne. (Oczywiście, ci co ukradli sobie polary np. w Chamonix wyglądali normalnie). Z czasem pojawiły się polary firmy North Cape oraz Helly Han-

seny, zwłaszcza pomarańczowe. Przy odrobinie szczęścia można było trafić taki na ciuchach. Szczęście miało wiele osób, bo na jednym z turnusów w „Betlejemce” w takich polarach wystąpiło aż ośmioro wspinaczy. Potem zaczęło się robić mniej ciekawie, bo polary zaczęto rzucać do Peweksu, a na rynki wkraczali stopniowo polscy producenci (np. Alpinex), co zapoczątkowało postępującą uniformizację, choć wspomnieć należy ciepło polary szyte z materiału w tropikalne wzory, a przeznaczone raczej dla partyzantów na Hawajach niż dla osób łamiących przepisy TPN. Taki polar plus spodnie widziany był swego czasu na Janie Gondowiczu. Dziś naprawdę oryginalnym można być np. w polarze własnej roboty lub North Capie (z tych najgrubszych), który wygląda tak, jakby go wyciągnięto ze śmietnika. Wiadomo wtedy, że ma się do czynienia z kultmenem, bo przecież nowy polar dowolnej firmy może sobie kupić każdy, w każdym kiosku Ruchu.

Dorodny, zabytkowy okaz polara z początku lat osiemdziesiątych być może jest jeszcze własnością Bogumiła Słomy – gruba przesiana kurtka firmy North Face w kolorze rzadkich odchodów przywodzi na myśl złoty okres polskiego himalaizmu. Obecnie używana do prac gospodarskich.

Na okaz podobnej klasy badacze natrafili w Łomiankach, w posiadłości himalaisty Jana Holnickiego. Ta kurtka uszyta jest domowym sposobem z peweksowskiego polara w kolorze niebieskim. Całości dopełnia odpruwający się i wyciągnięty biało-niebieski ściągacz od starego swetra i gruby, biały, popsuty suwak. Bardzo dobra do prac w ogrodzie.

**Puchówka** – kurtka puchowa. Pierwsze puchówki szyte były z ortalionu lub czegoś, co wyglądało jak skrzyżowanie ortalionu z brezentem, zawsze puszczały puch, więc po zdjęciu puchówki i tak miało się na sobie dużo puchu. Szyte w domu lub przez bardziej przedsiębiorcze osoby (pani Momiutkowa z Katowic) były czerwone lub granatowe, rzadziej pomarańczowe. Z czasem puchówki można było zamówić przez kluby, a jeśli jechało się na wyprawę, np. w Kielcach. Prawdziwa i kultowa puchówka była ciężka i tak napchana puchem, że wyglądało się w niej jak reklama opon. W miarę upływu czasu puchu ubywało, a ten co był przesuwiał się na sam dół, a na plecach zostawał tylko ortalion. Puchówek raczej się nie prało w obawie przed zbiciem się puchu, tak że były na ogół brudne i wyszmelcowane. Prawdziwym szpanem było załapanie się na puchówkę powyprawową. Kluby miały puchówki do wypożyczania. Były czasy, gdy

puch na potrzeby klubów rozdzielany był centralnie i komisyjnie przez PZA.

**Rękawiczki** – a właściwie rękawice z jednym palcem, przeważnie od góralki (w 72 r. kosztowały 70-80 zł). Najlepsze były sfilcowane. Prześcigano się w sposobach stworzenia naprawdę ciepłych i nie namakających rękawic; warstwowe ścięgi i tajemnicze metody zbijania wełny tak, że po wyjęciu z nich dłoni kształt dłoni zachowywały na zawsze. Powszechnie było posiadanie rękawic nie do pary – bo łatwo ginęły. Żeby nie ginęły, doszywano do nich sznurki – albo długie, przechodzące pod kurtką na plecach, jak u przedszkolaków, albo krótkie pętelki zapinane na guzik przyszyte do swetra lub dłuższe, owijane wokół nadgarstka. W miarę filcowania się, rękawice tak się kurczyły, że osiągały prawie dziecinne rozmiary.

Szczególnie ciekawy rodzaj rękawic posiadał swego czasu np. kolega Krzysztof Treter. Były to rękawice tkane starą góralską metodą na deseczce nabijanej gwoździemi w kształt rękawicy. Tkano wierzch i spód osobno, zszywano i uzyskiwano bardzo grube i sztywne rękawice. Aby zmiękły, należało lepić w nich bałwanki, moczyć i suszyć na przemian.



*Krzysztof Pilawski w czapce z uszkami*

**Second-skinny** (czyt. sekendskinny) czyli legginy – skrzyżowanie kalessonów z rajtuzami, na początku polyskliwe z dużą ilością lacry, potem z przewagą bawelny, wygodne, nie krępują ruchów, bardzo sexy. Chyba dwie ostatnie cechy zadecydowały, że zaczęli je nosić prawie wszyscy, nie bacząc na stopień odchylenia swoich nóg od pionu, nie mówiąc o innych parametrach. W przypadku mężczyzn, jeśli podkoszulka nie była dostatecznie długa, brał górę styl „chcesz czy nie chcesz, musisz

zobaczyć". Po krótkim zachłyśnięciu się męskiej części wspinaczy second-skinami, pozostały one domeną wspinaczy paździerzowych i skałkowych oraz cyklistów. Inni przerzucili się na luźne płóciene, kolorowe spodnie. Najpierw były to zielone spodnie od uniformu chirurga (wyprzedziły trochę second-skin, a potem występowały równolegle) lub spodnie indyjskie. Kolega Jarosław Caban, zgodnie ze swym wykształceniem, nosił białe spodnie piekarskie. (Jest pogląd, że taki model spodni przybył do nas z Yosemite). Potem luźne spodnie, czasem wzbogacone o łąty tu i ówdzie, zaczęli szyć również producenci odzieży wspinaczkowej. Nie wiadomo, czy ma to związek z najnowszymi badaniami, które dowiodły, że zbyt obcisłe spodnie szkoda na potencję.

Zeńska część środowiska nadal nosi legginsy, choć fascynacja kolorami i wymyślnymi wzorami raczej minęła – górę bierze dyskretna elegancja i skromność. A szkoda, bo we wdzięcznej pamięci zapisały się legginsy w grube biało-czarne pasy koleżanki Wolf (nadal do wglądu) i kolegi Mielczarka.

*„Spodnie winny sięgać do połowy przedudzia, spinane poniżej kolan, dostatecznie szerokie i wolne (...), powinny być tak skrojone, aby utrzymywały się na kłębach bez użycia szelek względnie paska” (...), Janusz Chmielowski, „Przewodnik po Tatrach”, 1907.*

**Spodnie do kolan, pumpy** – takie spodnie musiał mieć każdy szanujący się turysta i początkujący wspinacz. Prawdziwe spodnie do kolan nie były obcięte, ale po prostu były do kolan. Nogawki wszywano na dole w pasek spinany sprzączką. Na ogół szyto je z wełny lub grubego sukna – przynajmniej w Szwajcarii czy Austrii. U nas obcinało się wełniane spodnie taty (na zimę) lub własne stare sztruksy (na lato). Zapominaliśmy jednak często o tym, że wdzięczny Tyrolczyk nosił jeszcze do tych spodni wełniane podkolanówki w gwiazdki lub w jelonki. U nas na ogół, między kolanem a kostką, gdzie zaczynała się skarpeta, ukazywała się często sina z zimna lub spieczona słońcem (najczęściej tylko z jednej strony) goła łydka.

W takich ciężkich, wełnianych, szarych spodniach ogrodnickich, z mnóstwem klamer i sprzączek, Krzysztof Wielicki wszedł w zimie na Mount Everest.

**Skarpety od Rubinowskiej** – w latach 60. i 70. starzy wyjadacze, ekstremaliści i uczestnicy wypraw nie mrozili sobie tydek, tylko nosili skarpety od Rubinowskiej (Kielce). Były to grube skarpety do kolan w bardzo, skomplikowany wzór (romby), trochę podobne do góralskich, trochę do nepalskich.

Z tyłu miały wyrobiony charakterystyczny szew, ważyły tyle co sweter. W roku 1972 kosztowały 200 zł. Takie skarpety na fotografiach z młodości mają na przykład Janusz Kurczab, Jerzy Michalski, Eugeniusz Chrobak czy Wojciech Wróż.

**Spodnie strażackie** – takie spodnie załatwiali sobie zimowi wyczynowcy w magazynach straży pożarnej. Były białe lub szare, długie, uszyte z kwaso-ognioodpornej wełny, przypominającej zbite sukno, ważyły sto kilo. Po długim okresie nieprania można je było postawić w kącie.

**Stano Bernadetta** – czyli Beta, piękna kobieta. Oprócz tego, że swego czasu dużo i dobrze się wspiniała, zapisała się we wdzięcznej pamięci tym, że oprócz nienaganego stroju, występowała w pełnym makijażu bez względu na okoliczności. Czy to wspinaczka ekstremalna, czy upojny wieczór w schronisku, Beta miała zrobione oko, upudrowany nos i kolczyki w uszach. Udowodniła tym samym, że wspinająca się kobieta wcale nie musi wyglądać jak tłumok i znalazła wiele naśladowczyń.

**Stoptuty** – teoretycznie miały chronić przed dostaniem się śniegu do butów i przemoczeniem skarpet i spodni, ale z niejasnych przyczyn niektórzy nosili je nawet w lecie, a zakładali już do pociągu wiozącego ich w góry. Szykownie było nosić stoptuty zsunięte do kostek. Była też letnia wersja krótkich stoputów – w Alpach chroniły przed dostawaniem się żwiru do butów. Pierwsze stoptuty wyglądały jak zarekawki księgowego, tyle że były najpierw z brezentu, a potem ortalionu. Łatwo je było uszyć samemu – Jan Hierzyk miał stoptuty uszyte z zasłonki z pociągu, we wzorek PKP. Z czasem w kostce pojawił się dodatkowy tunel z gumą, a stoptuty przywożone ze Słowacji miały jeszcze linkę pod butem, a z przodu na górze haczyk. Czas mijał, stoptuty rozwijały się dynamicznie – pojawienie się suwaka zwiększyło wygodę, ale i ryzyko – można było o suwak zahaczyć rakiem i się przewrócić. Stoptuty wyprawowe wyewoluowały w stronę overbootów. Próbę uszycia takich domowym sposobie podjął Jacek Bilski – na dole doszył rodzaj obramowania z dętki, naciągało się to na but, a pod podeszwą mocowało paskiem, również z dętki.

**Sweter z owczej wełny** – kiedy po raz pierwszy przyjeżdżało się do Zakopanego, w napadzie iście młodopolskiej ludomanii i zachwytu nad wszystkim, co góralskie, kupowało się właśnie taki sweter. Dwa numery za duży, najlepiej szary, o charakterystycznym zapachu mokrego capa, w miarę noszenia wyciągał się do kolan, nadpruwał i nabierał cech kultowości. Na ogół sweter taki nie przetrzymywał pierwszego prania, ponieważ drugim jego składnikiem obok wełny była wata, wplataną przez gos-



*Sweter z owczej wełny, kask budowlany i lina z Bielska. Warto zwrócić uwagę na sposoby wiązania się liną*

podarne gaździnki. Jeśli przetrzymał, a my zostawiliśmy tatarnikami, nosiliśmy go z upodobaniem na wspinaczki, chociaż nasiąkał wodą jak gąbka, był ciężki i zajmował bardzo dużo miejsca. Kiedy chcieliśmy mieć naprawdę dobry sweter, trzeba było postarać się o owczą wełnę bez domieszek – w tym celu potrzebna była zaprzyjaźniona gaździna, a do wykonania zręczne ręce lub zręczna narzeczona. Z takiej wełny wyrabiano się również **skarpety**, lecz te, choć ciepłe (gdy się sfilcowaly – jeszcze cieplejsze), szybko przecierały się na piętach, więc nieodłącznym do nich kompletem był motek wełny i gruba igła).

**Swetrów od cholery** – system na cebulkę (opisany przez Ostrowskiego w „Wyżej niż kondory”) koncepcja przeciwstawna do jednego grubego swetra. Według jej wyznawców ciepło zapewniało jedynie dużo (dwa, trzy) cienkich swetrów, najlepiej szetlandzkich, założonych jeden na drugi. Ponieważ swetry takie uchodziły za eleganckie i można je było kupić za granicą lub w Peweksie, w góry brało się te już zniszczone albo upolowane na ciuchach (lub z tzw. darów). W związku z tym były na ogół przetarte na łokciach, sfilcowane pod pachami, w miejscach strategicznych zdarzały się dziury. Były jednak z „prawdziwej wełny”, lekkie i zajmowały mało miejsca.

**Szorty** – najbardziej tajemniczy element ubioru wspinacza. Nie chodzi tu o klasyczne szorty z kie-

szeniami i paskiem ani o obcięte dżinsy. Chodzi o krótkie spodenki gimnastyczne lub samodzielnie uszyte np. z ortalionu (Jacek Luniak). Nakłada się je na second-skinny i w skałkach, i w górach, ale czy zadaniem ich jest ochrona drugorzędnych cech płciowych przed urazami mechanicznymi i termicznymi, czy też ma to zapobiegać wydobywaniu się ciał lotnych poza obręb spodenek, tego nie wiadomo. Wiadomo jedno: jeżeli ma się na sobie szorty można założyć krótszą podkoszulkę (patrz: second-skinny).

„Do Tatr fraka się nie wozi” (...), Walery Eljasz, „Tatry”, 1886

**Święcicki Wojciech** – instruktor, z natury dziekan, ożywia i uświeta. Na pierwszy rzut oka nie wyróżnia się niczym szczególnym, jednak to tylko pozory, bo po bliższym przyjrzeniu się nie można mu odmówić konsekwencji w kultywowaniu pewnego stylu, a jest to mianowicie styl: Anglik na przechadzce. Generalnie chodzi o to, by idąc na wspinaczkę nie wyglądać jakby się szło na wspinaczkę. Zawsze długie spodnie (czyżby miał coś do ukrycia?) w stonowanym kolorze i w doskonałym gatunku, odprasowana (wozi żelazko?) koszula lub podkoszulka i czapka à la Don Whillans (patrz: czapka), czasem fajka. Niespieszne i majestatyczne ruchy (nawet na wspinaczce) dopełniają całości. Naśladowców brak.



**Tomkowicz Aleksandra** – Sandra. Prekursorka noszenia przez kobiety bularek niezależnie od temperatury i okoliczności. Liczne naśladowczynie.

**U nas w Yosemitech** – tam chłopcy wspinali się najlepiej i jeżeli nie można było wspiąć się jak oni ani do nich pojechać, można było chociaż jak oni wyglądać.

Do kultowego zestawu odzieżowego należały: apaszka (bandanka – żadna inna!) na czole (aby pot nie zalewał oczu), szerokie spodnie, najczęściej białe oraz bularka (patrz: bularka). Całości dopełniał komplet pętelek na nadgarstkach, zaczęły pojawiać się kolczyki w jednym uchu (panowie) i wisiorki na szyi (też panowie), choć w kwestii biżuterii ww. tendencja spletała się z tendencją „przepych wschodni” (panie i panowie).

*„(...) jak i sukni balowej”, Walery Eljasz, „Tatry” 1886.*

**Wach Danuta** – Duśka. Jeżeli Bernadetta Stano miała się na kimś wzorować, to właśnie na niej. Duśka była pierwsza, jednak zaczynała zbyt wcześnie, aby jej koncepcja, zawsze gotowej do strzału kobiecości bez względu na czas i miejsce, znalazła szersze grono wyznawczyń. Do historii przeszła puderniczka z lusterkiem, którą, jak głosi legenda, Duśka wyciągała nawet w najbardziej dramatycznym momentach górskich aby skontrolować stan swojej niezaprzeczalnej urody.

**Złota nitka** – nie było to coś, co zakładało się w górach i skałkach, ale było to coś, co pozwalało w te góry (i skałki) spokojnie jeździć. Gdyby nie złota nitka, nie wiadomo jak potoczyłyby się losy polskiego himalaizmu i czy wypraw w Himalaje mogłoby jeździć na tyle dużo, żeby osiągać sukcesy. Aspekt finansowy związany ze złotą nitką uczynił wyjazdy w Himalaje znacznie bardziej pociągającymi niż gdyby występował tylko aspekt osiągu.

Po sprzedaniu w Indiach tego, co się na handel przywoziło, po sprzedaniu w Katmandu tego, z czym się z gór wróciło, kupowało się na Pahar Ganju (Delhi) właśnie złotą nitkę. Były to zasadniczo trzy rodzaje ubrań uszytych z cienkiej i powiewnej bawełny w kwiaty, pawie i inne przepyszne wzory, przetykanej złotą nitką. Pierwszy typ to był duplex, czyli spódnica w gumkę i bluzka zawiązywana pod szyją na troczki, rękaw długi, na dole bufki (czasami bluzka miała pikowany karczek). Obie te rzeczy w ogóle nie miały fasonu, ale w tamtych czasach wielkie krawiectwo jeszcze nie świeciło u nas triumfów. Typ drugi, czyli triplex, to

duplex wzbogacony o krótką pikowaną kamizelkę z tego samego materiału. (Jakoś nikomu nie przychodziło do głowy, żeby nosić kamizelkę bez bluzki). Dodajmy jeszcze szeroką sukienkę z pikowanym karczkiem oraz apaszki, a będziemy mieli cały asortyment przywożony we wczesnych latach 80. Podstawową zaletą złotej nitki było to, że szła jak woda. Jeżeli w pięć minut nie rozdrapała jej rodzina i przyjaciółki, należało zaopatrzyć się w łóżko polowe i udać na najbliższy plac targowy. Tam, gawędząc w gronie przyjaciół, sprzedawało się towar w jeden, no, góra dwa dni. Potem miejsce złotej nitki zajęła kratka, skrętki, a potem wszystko, łącznie z meblami, ale nie na łóżkach tylko w sklepach. Ale to już zupełnie inna historia...

Podziękowania dla nękanych przeze mnie konsultantów: Jiżiego Brennejzena, Grzesia i Małgosi Benke, Grażyny Chrobak, Mili Holnickiej, Marzenki Korbeckiej, Wojtka Kurtyki, Andrzeja Machnika, Henka Mierzejewskiego, Anki Skowrońskiej i Andrzeja Gardasa, Marty Szlamki, Aśki Wolf.

*Zdjęcia z archiwum  
Beaty Słamy*



*Sławne second-skinny Joanny Wolf*

# PIERWSZY NA LINIE...

## WSPOMNIENIA O JANUSZU ŚMIAŁKU



Janusz Śmiałek

*„Piękniejsze od gór mogą być tylko góry niezdo-  
byste...” Ku jednej z nich, najdalszej, wyruszył ze  
schroniska nad Morskim Okiem 26 września 1997  
r. Janusz Śmiałek.*

*Dzień był chłodny, góry w kolorach jesieni.  
Poranny ratowniczy patrol rozpoczęło żmudne po-  
dejście przez Mokłą Wantę ku Białczańskiej Prze-  
łęczcy Wyżniej. Mokra, lecz bez sensacji w poprzek  
płyt, później niewdzięczne kominki i długi trawers  
do podnóża Żabiej Lalki. Rzut oka w górę... Chcia-  
łoby się wspiąć, ale dziś nie ma czasu. Dalej  
stromiejący żleb, tętno przyspiesza i oddech staje  
się szybszy. Rzut oka wstecz. Czarny Staw jak na  
dłoni, ale bardzo już nisko. Pusto. Skąły sterczą  
wyzywająco. Na przełęczy poranny chłód zachęca  
do szybkiego marszu, niebawem trzeba wracać.  
Jeszcze parę kroków, nagle zima, lód zniecka,  
niewidoczny, po wilgotnej nocy, granitowe płyty,  
łatwe, lecz tego dnia zdradzieckie. I jeden krok za  
daleko.*

Potem już tylko żal i ból przyjaciół, niewiara, że stało się naprawdę. Rok minął, ale zapomnieć się nie da. Warto jednak tym, którzy znali Janusza przypomnieć, co dobre, niezapomniane. Tym zaś, którzy nie znali, opowiedzieć o Człowieku, który potrafił być wzorem i ukochanym towarzyszem wypraw, kolegą znakomitym, pełnym fantazji i poczucia humoru. Który w czasach bynajmniej niełatwych tworzył górską historię, a także umiał nauczyć gór dobrych i pełnych odpowiedzialności, górskiego partnerstwa w życiu.

Z biegiem lat zmalały trudności przebytych górskich dróg. Pojawił się nowy sprzęt i doskonalsze techniki, otwarto granice. Zamiast walczyć o wy-

jazd, po prostu wsiada się w auto. Ale, pamiętajmy, im cięższe były czasy i trudniej o realizację marzeń, tym większa była Przygoda. Tworzyło się wzorce i przeżywało głęboko spotkanie z ideałem: górą niezdo-  
bą, wyzwaniem głębokości, Partnerem w potrzebie.

Oceny ludzi i wydarzeń są subiektywne. Wizerunek człowieka wyrasta na tle jego epoki oraz wspomnień, jakie po sobie pozostawia w umysłach i sercach innych ludzi.

Nie będzie ocen i podsumowań.

Będzie wspomnienie o barwnej postaci na tle ciekawej i częściowo już zapomnianej epoki.

### ZANIM POJAWIŁA SIĘ LINA

Urodził się w Warszawie w 1940 r.

Lata 50., wiek szkolny Janusza dokumentują wyrwykowane ślady w postaci świadectw i dyplomów, nieco opowieści kuzyna – najlepszego wówczas partnera, strzępy zasłyszanych rozmów. Wyłania się z nich sylwetka bardzo zdolnego chłopaka o niespożytej energii. Z nauką nigdy nie miał kłopotów, o czym świadczą monotonnie wzorowe oceny, zwycięskie olimpiady matematyczne. Natomiast potrafił być uciążliwy dla matki i wychowawców przez swój temperament i nieustającą ruchliwość. Przejawiał aktywność w wielu dziedzinach. Mieszkając w Starym, a potem Nowym Sączu wymykał się w góry z kuzynem przy każdej nadarzającej się okazji.

Uprawiał sport: pływanie, lekkoatletykę, narciarstwo biegowe i zjazdowe, wyżywając się w atmosferze współzawodnictwa i wyczynu.

Tatry poznał podczas wycieczki szkolnej do Morskiego Oka. Dzięki niespodziewanie ciężkim warunkom pogodowym Janusz odkrył smak walki z trudnościami, a może i słabością, a także pokochał ten skrawek gór od pierwszego wejrzenia – już na zawsze.

Studia uniwersyteckie (Kraków, UJ, matematyka) stanowiły świetną możliwość rozwoju pasji górskiej, zdolności organizatorskich i potrzeby przewodzenia grupie. Janusz bardzo prędko odnalazł swe miejsce wśród najbardziej aktywnych członków studenckiego koła PTTK. Pełniąc w nim funkcje przewodniczącego, był duszą spotkań, rajdów i wycieczek. Planował i organizował, uczestniczył i prowadził.

W tym okresie poznawał coraz lepiej Tatry, zdobywając m.in. uprawnienia przewodnickie w Studenckim Kole Przewodników Górskich. Rosnąca fascynacja górkim wyczynem pchnęła Go w sposób naturalny ku wspinaczce i jaskiniom.

## ŻMUDNE LATA 60.

W 1960 r. Janusz Śmiątek został członkiem KW Kraków.

O ile w taternictwie i polskim alpinizmie pojawiały się nowinki sprzętowe i techniczne z Zachodu, o tyle taternictwo jaskiniowe na przełomie lat 50. i 60. przeżywało fazę mocno siemiężną. Był to wynik braku wiedzy i wiary w techniki linowe i hakowe, umiarkowanie sportowego ducha i kiepskiej w porównaniu z powierzchnią techniki. Pokonywanie pionowych progów zabezpieczały maszty i drabinki, co horrendalnie powiększało ilość transportowanego sprzętu. Stąd czasy przejść, np. do Sali Złomisk w Jaskini Zimnej dochodziły do 2 tygodni, a waga bagażu mierzona była w tonach.

Pierwszych w środowisku krakowskim innowacji technicznych i organizacyjnych w pokonywaniu ponurych i przerażających dotąd grot dokonał R. Rodziński, wybitny grotolaz i alpinista. By móc realizować naprawdę ambitne cele, skupił wokół siebie grono młodych, sprawnych, łaknących wyników i sukcesów ludzi z Klubu. Wśród nich Janusz był wyróżniającą się osobowością.

Rygorystyczne treningi skałkowe co weekend (i częściej!), opanowanie nowinek technicznych oraz wyczynowego wspinania (w tym wspinaczki hakowej), a przede wszystkim pokonanie barier psychicznych dzięki znakomitej formie i sprawności zaowocowało bardzo prędko. W miejsce Zimnej, Czarniej, Miętusiej zaczęto chodzić do wysoko położonych obiektów z trudnym, wspinaczkowym dojściem (Nad i Pod Dachem, Lodowa Litworowa,

Ptasia). Unikano biwaków, śrubowano czasy przejść. Akcje, zamiast tygodni, trwały po dwadzieścia parę godzin i mniej. W tym właśnie okresie Janusz stał się zwolennikiem wyczynu, uczestnicząc m.in. w najlepszym osiągnięciu jaskiniowo-sportowym roku 1963. Było to przejście w zespole z Rodzińskim i Nowińskim Jaskini Śnieżnej w 21 godz.

W Jego życiu nadal obecne są narty. Mnożą się akcje, zapelnia kalendarz górskich imprez. „*Nie marnować czasu!!!*” to motto roku 64. Góry zajmują niemal każdy weekend, ferie i wakacje. Wzrastają trudności przejść: pierwsze wspinaczki w rejonie Progu Mułowego, trzykrotnie powtórzone w jednym sezonie wariant „R” na Mnichu.

W 1966 r. Janusz jest już starszym instruktorem taternictwa jaskiniowego, członkiem zwyczajnym KW Kraków. To rok przełomowy w Jego górskiej karierze. Latem, jako uczestnik pierwszej polskiej wyprawy do Gouffre Berger, osiąga dno jaskini na głębokości -1122 m. Rekordem jest czwarte w ogóle, a pierwsze polskie zespołowe zejście do najgłębszej jaskini świata, jak również przekroczenie mitycznej bariery 1000 m.

Oprócz rozrywki i wyczynu pojawiają się nowe powinności: niesienie pomocy. Znajduje to odzwierciedlenie w rosnącej stale ilości dyżurów ratowniczych, na Kondratowej, Hali Gąsienicowej, Kasprowym, Chochołowskiej i w ukochanym Morskim Oku.

## IDŹ, RATUJ

Działalność ratownicza Janusza to odrębny, obszerny i ważki rozdział Jego życia. Zafascynowany osobowością gen. Mariusza Zaruskiego i Klimka Bachledy już w 1963 r. został ratownikiem – ochotnikiem Grupy Tatrzeńskiej GOPR, organizując w Grupie zespół ratowników jaskiniowych. W 1965 r. jest już członkiem zwyczajnym Pogotowia, w 1973 r. przez trzy miesiące pracuje jako ratownik zawodowy. Systematycznie szkoli etatowych goprowców, ucząc ich najnowszych technik stosowanych przez grotolazów. Sam też uzupełnia wiedzę, uzyskując dyplom trenera alpinizmu II klasy oraz biorąc udział w stażu ratowniczym we Francji.

Zasługą Janusza staje się rosnąca sprawność Grupy Tatrzeńskiej w zakresie nowoczesnych metod prowadzenia akcji w trudnych jaskiniach.

Trwają regularne dyżury w Centrali i w schroniskach. Mnożą się poważne, często niebezpieczne wyprawy Pogotowia, w których bierze udział. Zimą i latem, na powierzchni (np. w ścianie Kazalnicy) i w jaskiniach (np. w Nad Kotlinach).

Wrasta jak mało kto z ceprów w szorstkie środowisko ratowników tatrzańskich, zyskując sobie przydomek „Śmiałek Gąsienica Parzenica”. Jest z tego dumny.

W Krakowie w połowie lat 70. organizuje 17-osobowy Zespół Interwencyjny Taterników Jaskiniowych, jako wsparcie dla akcji ratunkowych Pogotowia. Jednoczy dla tej idei członków trzech, nierzadko zwaśnionych, krakowskich klubów jaskiniowych. Goprowcy i taternicy trenują wspólnie techniki i desanty. Celem przetestowania sprawności organizacyjnej Zespołu odbywa się pozorowana (czego świadomość ma tylko Janusz) akcja w Jaskini Miętusiej. Taternicy, bez względu na wagę porzuconych zajęć, stawiają się przy otworze i wchodzą do jaskini. W oczach zawodowców test wypada nadzwyczaj pomyślnie, za to Janusz staje się obiektem ataku rozsierdzonych kolegów.

Kolejne weryfikacje odbywają się już podczas autentycznych akcji: w Jaskini Litworowej w Tatrach czy jaskini Nad Źródłem w podkrakowskich skałkach.

Na przełomie lat 80. i 90. GOPR, a później TOPR ma już własny, profesjonalny zespół ratownictwa jaskiniowego. Janusz od pewnego czasu przebywa na kontrakcie za granicą. W Centrali pojawia się nieregularnie, na ile pozwalają okoliczności. Po powrocie do kraju, pomimo rosnącego nawału obowiązków, nadal rygorystycznie przestrzega swej najważniejszej powinności, jaką są dyżury ratownicze dwa razy w roku. Aż do ostatniego, we wrześniu 1997.

## RZEKI BEZ GWIAZD

Rok 1968 rozpoczyna serię kierowanych przez Janusza wypraw o charakterze wyczynowym.

Pierwsza z nich i zarazem pierwszy sukces to wyprawa KW Kraków i Grupy Tatrzańskiej GOPR do Nad Kotlin. Janusz, prowadząc trzyosobowy zespół poprzez Obejście Gliwickie dociera do Jaskini Śnieżnej, łącząc obie jaskinie w jeden system, szósty na świecie pod względem głębokości (wówczas -772 m).

W 1972 jest w planie przejście jaskini Pierre Saint Martin i Gouffre Arphidia, połączonych fragmentem sztucznego tunelu, który wyprowadza na powierzchnię (Arphidia nie ma naturalnego otworu). Wyprawa po osiągnięciu w Arphidii głębokości -1360 m (względem najwyższego wówczas otworu PSM) ma wyjść z systemu tunelem EDF\*.

Głębokie studnie, niezwykle kapryśny ciąg wodny z Rzeką Bez Gwiazd, przybierającą nagle i gwał-



Janusz Śmiałek w Lamprechtschofen w roku 1979  
Fot. B. Koisar

townie, wielkie sale, trudne orientacyjnie, o zagmatwanych przejściach, wreszcie Arphidia z kolejnymi ponad 400 metrami pionu stanowiły cel dla najlepszych. Trzeba bowiem pamiętać, jakiego wówczas używano sprzętu, ubrań i technik. Bawełniane, nigdy nie wysychające szmaty. Koszmar wychłódzeń. Kiepskie uprząże. Rozłaziące się w wodzie „zawraty” i bezkształtne, dwuczęściowe „zółtki”. Pianki? Bynajmniej. Pontonierzy? Nie daj Boże. Bateriajne światło. (Zabrano 1000 baterii!). Ciężki sprzęt biwakowy. Jedzenie nie przystosowane do podziemnych transportów, wywalczane od najdziwniejszych sponsorów. Brak możliwości spitowania (nie wspominając już o wiertarkach) i zakładania zjazdów gdzie wola.

Wobec takich realiów pokonanie określonych, niebanalnych trudności, najpierw organizacyjnych (głęboki socjalizm!), potem związanych z wielkością jaskini i jej ciągiem wodnym pozostaje z całą pewnością wyczynem. Konkretni ludzie, świetnie przecież przygotowani, bardzo konkretnie dostali w kość. Wyczyn potwierdziły przyznane uczestnikom medale za wybitne osiągnięcia sportowe.

Rok 1973, Iran. Psujący się kilka razy dziennie star, kilometry dróg w pyłe i w upale, wielka dawka egzotyki to tło kolejnej wyprawy. Jej celem miało

być II przejście i próba pogłębienia najgłębszej jaskini Azji – Ghar Parau (-751). Jaskinia zmusiła do brutalnej konfrontacji z błotem i wodą nie do uniknięcia, z ciasnymi meandrami, po przejściu których z kombinezonów zostawały żałosne strzępy. Przejścia dokonano, pomimo wszystkich niedogodności oraz niedoskonałości sprzętu, w tym uciążliwego poręczowania głównie przy użyciu haków. Obiekt słusznie określono jako bardzo trudny.

Obie wspomniane wyprawy uznać trzeba za specyficzne. Wymagały przygotowań, o jakich się dziś nie śni, zarówno w zakresie organizacji, jak i ćwiczeń techniczno-kondycyjnych. Przed wyjazdem trenowało się szaleńczo w skałkach i nad Rudawą. Były wyjazdy w Tatry: Wielka Śnieżna, pierwsze zimowe przejście Ptasiej (przez Próg), trawersowania Progów Mułowej i Litworowej i wiele innych. Później walka z maszyną biurokratyczną przy opuszczaniu kraju, zapobieganie konfliktom pomiędzy ludźmi z różnych środowisk i trzymanie krzepką dłońią wydarzeń o skali nie znanej dotąd środowisku jaskiniowemu; wszystko to razem wzięwszy stanowiło największe wyzwanie dla kierownika.

Potem już było łatwiej. Rok 1974 i UCPA – szkoła wspinania we Francji, 1975 – eksploracja w Austrii. Zbieg okoliczności sprawił, że pierwotnie planowanego celu, Mondhöhle, nie dało się zrealizować. Wyprawa, wbrew chęci większości uczestników, dzięki intuicji Janusza, wybrała Leoganger Steinberge. Poszukiwano górnego otworu Lamprechtsofen. Był to faktyczny początek drogi do tegorocznego sukcesu w Lampo.

Rok 1976 to sportowe przejście w czasie jednej wyprawy dwóch głębokich jaskiń w dwu różnych krajach: Gouffre Berger (-1122) i Grotta di Monte Cucco (-922). W '77 znów Lampo, pierwsza wyprawa jaskiniowa zimą i przewyższenie wspinaniem (+852). Kolejne dwie zimy, po odstąpieniu od organizacji i kierownictwa, to znów wspinanie w Lamprechtsofen i polski „tysiąc” w 1979. I medal za wybitne osiągnięcia sportowe.

Wyprawy i wyjazdy po rekord, gdzie celem był sukces, traktowane były przez Janusza bardzo poważnie. Z męczącą czasami precyzją matematyka planował i kalkulował, wyliczał czasy, kilogramy, tętno, oddech. Zestawiał to wszystko na niezliczonych grafikach, starannym maczkiem zaopatrywał w komentarze o faktach i osobach. Wykresy zwykle „lubity się spiętrzać”.

Wiedział i innym uświadamiał nieubłaganie, że „sukces wymaga trudu”. Daje też satysfakcję. Tym większą, jeśli można dzielić ją z kimś bliskim. Janusz miał szczęście znaleźć partnerkę – towarzyszkę rekordowych wypraw, partnerkę na linie,

trwającą na drugim jej końcu także we wszystkich życiowych kłopotach. Pierwszą miłością Janusza zawsze jednak były góry i i ta hierarchia musiała być zaakceptowana w domu.

Po stażu ratowniczym w Font d'Urle we Francji, nie mogąc ze swą skromną pensją adiunkta sprostać potrzebom rodziny, w lecie '79 Janusz musiał pożegnać Tatrę na dłużej.

## CIĘŻKIE CZASY W „DZIKICH KRAJACH”

Starym, rozpadającym się, wyładowanym po dach busem udał się w samotną podróż do Maroka, pozbawiony wsparcia bliskich, w nieznane, do ciężkiej pracy. Zaangażowany przez Polservice miał objąć etat wykładowcy matematyki w Rabacie. Początki były trudne. Studenci bardzo zdolni, lecz arogancy i złośliwi, od rana do nocy szlifowanie języka francuskiego, co semestr zajęcia z innego działu matematyki. Była to istna szkoła przetrwania. Oskocznią stał się przyjazd rodziny, weekendowe wspinaczki w pobliskich skałkach, wypadki do niewielkich jaskiń, rozrywkowo, z zaprzyjaźnionymi grotołazami francuskimi. Oni też zaprosili *monsieur Smialka* do przejścia najgłębszej jaskini Afryki Kef Toghobeit (-677 m).

W lecie 1980 r. wraz z ostatnią grupą swych polskich wychowanków jaskiniowych był w Gouffre Berger do -860 m. Zimą – samotne wejście na Tubkal (4167 m n.p.m.), w następnym roku ponownie, wraz z przyjaciółmi.

Maroko, zjeżdżone wzdłuż i wszerz, urzeka pięknem. Jednak niskie zarobki powodują, że po trzech latach Janusz wraz z rodziną *via* Polska ląduje w Zairze.

Realia zairskie oznaczają natychmiastowe zagrożenie się w tarapaty. Tkwiąc w sercu Afryki nie ma pracy (mimo ważnego kontraktu), nie ma mieszkania, odwrót odcięty z braku pieniędzy. Rodzina. I mało optymistyczna wiadomość, że od 16 miesięcy nikt z kooperantów nie dostaje pensji. W tej beznadziejnej sytuacji niespodziewany etat wykładowcy w liceum francuskim pozwala przetrwać dwa i pół roku do otrzymania pierwszej pensji dewizowej.

Pobył w Zairze trwał pięć lat. Wystarczająco długo, by przywyknąć do afrykańskiej egzotycznej codzienności. Do życzliwych, lecz skrajnie skurczonych i opieszłych urzędników, rabunków i kradzieży, do zdolnych i sympatycznych, ubogich studentów. Do dziurawych i pustych ścian uniwersytetu, gdzie Janusz mimo wszystko podjął pracę.

W czasie tych pięciu lat dużo też było afrykańskiej piękna, odkrywanego pośród zachłannego

zwiedzania, na ile pozwoliły warunki finansowe i czas. Były liczne wypadki do Zambii, Wodospady Wiktorii, rafting na Zambezi, Tanzania: krater Ngoro Ngoro, wycieczka do stóp Kilimandżaro, brzeg Oceanu Indyjskiego. Nie było tylko gór, do których Janusz nie potrafił przestać tęsknić.

## BELFER PRZEZ DUŻE „B”

Matematyk z wykształcenia i pasji, był adiunktem w Instytucie Matematyki AGH w Krakowie, gdzie w 1970 r. obronił pracę doktorską. Dydaktykę traktował bardzo serio, o czym świadczy 8 publikacji poświęconych dydaktyce matematycznej. Dwa lata wyrwane z życia rodziny i aktywności górskiej poświęcił ciężkiej pracy nad cenionym przez studentów nowoczesnym skryptem (1991).

Lubił pracę ze studentami, którzy szanowali Go za kompetencję, obiektywizm, cierpliwość. Był wymagający, lecz cieszył się popularnością i sympatią. Każdego traktował poważnie i z pewnym dystansem, nie szczędząc humoru dozowanego z ogromnym wyczuciem. Miał szczególną łatwość nawiązywania kontaktu ze słuchaczami.

Koledzy z Instytutu cenili jego perfekcjonizm i rzetelność, cięty dowcip i witalność. Janusz był tym, do którego szło się w największej potrzebie ze świadomością, że On sprosta każdej trudnej sytuacji. Umiał rozładowywać napięcia, ubarwiać uczeliane życie.

Zdarzało się, że na instytutowe zebrania wdrapywało się po rynnie, przynosząc świeże pączki.

9 maja, tradycyjnie, organizował bankiet „z okazji Dnia Zwycięstwa (nad bestią hitlerowską i zdeptaniem jej we własnym gnieździe)”...

Wykładając matematykę na Wydziale Geodezji interesował się żywo programem nauczania, dążąc do jego modyfikacji. Pierwszy dostrzegł potrzebę uczenia geodetów zasad asekuracji. W konsekwencji, po licznych dyskusjach na wydziale, w 1994 r. powstał fakultet: „Prowadzenie terenowych prac geodezyjnych w warunkach zagrożeń”.

## ETYKA GÓRSKA

W czasach, kiedy Janusz zaczynał swą górską karierę, obowiązywały niezłomne zasady: wracało się z akcji w takim samym zespole, w jakim się na nią wychodziło. Później, niestety, zwyczaj się zmienił. Tym większą, a może największą zasługą

Janusza, jest ideologia górską odziedziczona przez wychowanków i przyjaciół. Zawiera się w dwóch zdaniach:

– w górach (i nie tylko!) jedyny nakaz, którego nigdy nie można zignorować, to głos „*idź, ratuj*”

– w zespole należy być partnerem „*uwważnym, odważnym i rozważnym*”, takim, któremu zawsze można zaufać

Czasem wydawać się mogło, że niektóre działania górskie Janusz improwizował, realizował w sposób nie zaplanowany. Coś działo się późną nocą, albo w pośpiechu, szalony biwak, z ogniskiem, dla samej radości pobytu w Tatrach, wejście na Mnicha w garniturach i z liną w aktówce. Co istotne: uczestnicy, zarówno niedoświadczeni, jak i stare górskie wygi, nie mieli nigdy poczucia zagrożenia, ryzyka, wrażenia nieodpowiedzialności kierownika. Najbardziej dziwaczne akcje odbywały się z pełnym komfortem psychicznym, wiarą w kompetencje i zaufaniem absolutnym, które nigdy nie zawiodło.

## JAK CZŁOWIEK RENESANSU

Jak każda wybitna osobowość Janusz miał tyluż zwolenników, co oponentów. Był zazwyczaj reżyserem i głównym aktorem swoich najróżniejszych spektakli. Taki układ niesie za sobą wiele niebezpieczeństw.

Zarzucono: „Janusz umiał zauroczyć”. To prawda, niemniej jest to komplement. Nje każdy to potrafi. Zarzucono: w jaskiniach nie był mistrzem ortodoksą. I chwala Mu za to. Jego działalność miała sto aspektów: wychowywanie i ratowanie, zabawę i wyczyn, kontemplację miejsc i sytuacji, poszukiwanie nowych rozwiązań technicznych.

Ściany i jaskinie, które się razem z Januszem poznawało, nabierały specyficznej treści, on je sobie podporządkowywał, zagospodarowywał swoją osobowością. Do tych wspólnych przeżyć najchętniej powraca się we wspomnieniach.

Precyzyjny matematyk umiał patrzeć na świat z nieoczekiwaną wrażliwością, snuć liryczne opowieści. Pisać rzeczowo, zjadliwie, dosadnie, z dużą dawką humoru i sprawną narracją.

W każdej chwili swojego niezmiernie pracowitego życia Janusz coś tworzył lub koncyptował, organizował, zabawiał czy fascynował, w Jego towarzystwie nie dało się trwać inertnie. Jemu się podlegało lub towarzyszyło, z Nim cieszyło lub przez Niego irytowało do szaleństwa. Obojętności nie było nigdy.



### CHRONOLOGICZNE ZESTAWIENIE WAŻNIEJSZYCH DOKONAŃ GÓRSKICH

1961-1965 liczne wspinaczki w rejonie Morskiego Oka (w tym trzykrotnie wariant „R”), Hali Gąsienicowej, Progu Mułowego (nowe dojścia wspinaczkowe do jaskiń)

1963 – najlepsze przejście sportowe roku: J. Śnieżna do dna w 21 godz.

- 1964 – eksploracja w Śnieżnej w Partiach Krakowskich do Sali Śmiałka
  - II i III przejście jaskiń Nad Dachem (eksploracja) i Pod Dachem,
- 1965 – wspinaczka i odkrycie partii Na Pięterku,
  - Śnieżna do dna 22 godz.
  - powtórnie Śnieżna do dna (8 godz.) – trening przed G. Berger
- 1966 – wyprawa do Gouffre Berger (-1122 m)
- 1968 – połączenie Nad Kotlin ze Śnieżną
- 1971 – trening przed PSM: m.in. Wielka Śnieżna do dna
- 1972 – I zimowe przejście Ptasiej (c.d. treningów)
  - PSM – Arphidia (-1360)
  - Mont Blanc
- 1973 – Wielka Śnieżna
  - wyprawa do Ghar Parau (-751)
  - wejście na Demawend (5485)
- 1974 – dymienie w Czarnej
  - Ptasia (-300)
  - UCPA – szkoła wspinania
- 1975 – Leoganger Steinberge eksploracja powierzchniowa (m.in. Rothöhle do -300)
- 1976 – G. Berger (-1122) – Monte Cucco (-922)
- 1977 – przewyższenie Lamprechtsofen do +852
- 1978 – Lamprechtsofen +952
- 1979 – „tysiąc” w Lamprechtsofen
- 1980 – Dżabel Tubkal w Atlasie (4167)
  - Gouffre Berger (-860)
- 1982 – Kef Toghobeit (-677)
- 1982 – Tubkal powtórnie

\* Electricite de France.

## Junior '98

Między 20 lipca a 20 sierpnia tego roku, na obozowiskach tatrzańskich PZA trwała akcja, której celem była aktywizacja młodych wspinaczy. Mogli brać w niej udział ci, którzy ostatnio (do trzech lat wstecz) uzyskali kartę tatarnika. Akcja dotowana przez Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki sumą 9 tysięcy złotych polegała na zwrocie opłat za noclegi dla uczestników i konsultacjach z instruktorem PZA. Aby uzyskać zwrot kosztów należało wykazać się działalnością wspinaczkową. Dofinansowano w ten sposób 80 osób. Średnio każdy z uczestników przebywał na obozowisku 6 dni

i w tym czasie przeszedł 8 dróg wspinaczkowych. Wydano ogółem 9 tysięcy 300 złotych, nieco przekraczając limit. 7 tysięcy to zwrot kosztów noclegów, reszta została wydana na opłatę pobytu instruktorów i delegację.

Akcja cieszyła się zainteresowaniem młodych wspinaczy. Poza ułatwieniami finansowymi takie działania sprzyjają integracji środowiska. Początkowe założenia okazały się nieco za „szytywne” i zostały na miejscu zliberalizowane przez instruktorów PZA, czuwających nad przebiegiem działań. Akcja ma być kontynuowana w roku przyszłym.

# TRENING - BŁĘDY

Oczywistym sposobem poprawy treningu jest unikanie błędów. W pierwszym z serii dziesięciu artykułów MATT SMITH (współautor mającego się pojawić wkrótce podręcznika treningowego) pokazuje pięć powszechnych błędów i daje praktyczne rady jak ich uniknąć.

Najistotniejszą rzeczą dla początkujących, którzy rozpoczynają przygodę ze sportem wspinaczkowym, jest skoncentrowanie się głównie na wspinaniu, a nie na mniej istotnych aspektach treningu takich jak ćwiczenia z obciążeniem czy na tablicy. Wszelkie te uboczne działania spowodują niepełny rozwój technicznego repertuaru.

Również bardziej pożądane jest robienie sekwencji ruchu lub dróg, które możesz skończyć. Rozwinie to pewność, odpowiednią gospodarkę energetyczną i uchroni przed kontuzjami.

Trening jest szerokim i złożonym tematem. W tej nowej serii zamierzam przedstawić wszystkie zagadnienia techniczne w możliwie najprostszy sposób.

W pierwszym artykule podam kilka podstawowych wskazówek tak, byś mógł zobaczyć co ewentualnie jest nie tak z twoim treningiem. W sumie o wiele prościej jest powiedzieć co robisz źle, niż powiedzieć wszystko co powinieneś robić. I jeżeli znajdziesz znaczne odchylenia, to czas, by wnieść kilka odpowiednich poprawek do twego treningu.

Początkowo może być trudno weryfikować własny trening, lecz z pewnością rezultaty będą widoczne w sezonie, a to jest przecież najważniejsze i prawdopodobnie z nadejściem zimy będziesz dobrze „wyposażony”, by jak najlepiej rozwinąć swój trening.

## **BŁĄD 1**

W skałkowym sezonie większość wspinaczy uwielbia robić wiele dróg, długich, krótkich i sportowych. Ci sami wspinacze rozpoczynają zimowy sezon boulderingiem, wyostrzając w ten sposób swą „moc”. Jak na razie wszystko w porządku.

Problem rozpoczyna się, gdy poprzestają na samym boulderingu przez całą zimę. Nadchodzi wiosna i zaczynają robić znowu drogi wspinaczkowe, czują się silniejsi niż kiedykolwiek – lecz stop – stają się całkowicie wyczerpani po kilku metrach drogi. I potrzeba wówczas wielu miesięcy, by ich wytrzymałość wróciła do punktu wyjścia. W tym czasie tracą ciężko wypracowaną moc i w konsekwencji ich wspinanie nie jest lepsze niż w roku poprzednim. Gdyby tylko zrównoważyli trochę swój trening, mogliby pokonywać drogi lepiej niż kiedykolwiek.

Wskazówka praktyczna: w sezonie treningowym ćwicz jak najwięcej. Teraz podziel swój czas treningowy. Odpowiednio więcej czasu musisz poświęcić na to, co ma być rozwijane, mniej na to, co wymaga tylko podtrzymania na obecnym poziomie.

## **BŁĄD 2**

Mocne strony kontra słabe – większość wspinaczy ma swoje mocne i słabe strony. Dla przykładu mogą być silni fizycznie, ale mieć słabą technikę lub może wystąpić dokładnie odwrotna sytuacja.

Jeżeli wspinacz będzie pracował więcej nad swoimi mocnymi stronami niż nad słabymi, co czyni większość z nas, wówczas nastąpi znaczne ograniczenie możliwości wspinaczkowych. Praca nad słabymi stronami może być trudnym wyzwaniem, gdyż wymaga zaakceptowania chwilowego spadku formy. Jednak wkrótce doświadczysz znacznej poprawy zarówno słabych stron jak i ogólnych możliwości wspinaczkowych.

Wskazówka praktyczna: ćwicz swe słabe strony lecz jednocześnie utrzymuj swe atuty (mocne strony) na wysokim poziomie poprzez trenowanie ich raz na tydzień lub raz na dwa tygodnie. To zwiększy twoją motywację, gdyż robisz to w czym jesteś dobry. Gdy ćwiczysz słabe strony, porównuj rezultaty jedynie do swoich poprzednich dokonań, a nigdy do swoich silnych stron lub do dokonań innych. Jest to jedyny sposób by doświadczyć rzeczywistych postępów.



### **BŁĄD 3**

Dokładne naśladownictwo – wszyscy jesteśmy indywidualnościami z powodu różnic fizjologicznych i psychologicznych. Żaden program treningowy nigdy nie będzie działał w ten sam sposób dla dwóch różnych wspinaczy. Oczywiście musicie z powyższego wyciągnąć wniosek, by nie kopiować schematu, który jest dobry dla kogoś innego. Więc co powinieneś zrobić?

Wskazówka praktyczna: eksperymentuj, wypróbuj wszystkie najlepsze pomysły i metody, które możesz zdobyć i które są odpowiednie dla ciebie. Jeśli działają, stosuj je, jeśli nie – zapomnij o nich. I zapamiętaj – jeżeli znajdziesz jedną lub dwie nowe, które działają, nie zapominaj o pozostałych.

### **BŁĄD 4**

Specyfika – jest to jeden z najbardziej rozpoznanych błędów. Można podać setki przykładów o wspinaczach, którzy nie wykorzystują specyfiki, ale podam jedynie kilka prostych.

Jeżeli zawsze robisz drogi na płytach, czas twego treningu będzie „stracony”. Gdy dużo będziesz ćwiczył z obciążeniem lub rozwiązywał „problemy dachowe” na ściance, jeżeli chcesz być odpowiednio sprawny tak, by robić dziesięć dobrych dróg w ciągu dnia – nie możesz iść na godzinę na ściankę dwa razy w tygodniu. Jeżeli trenujesz w sposób niespecyficzny do swoich potrzeb – rozwinięsz nieodpowiednie wzorce treningowe, nieodpowiednią adaptację energetyczną i złe wzorce ruchowe.

Wskazówka praktyczna: sprawdź swe potrzeby wspinaczkowe na skale i skonfrontuj je z treningiem – czy jest wystarczająco specyficzny, by pomógł ci osiągnąć cel. Jeśli nie – zmień go odpowiednio. Zajmę się tym problemem w trzecim artykule, w którym krok po kroku przedstawię jak rozwiązać twój problem.

### **BŁĄD 5**

Odprężenie – jak dużo potrzeba? Dwa duże błędy są popełniane, jeśli chodzi o to zagadnienie. Możesz odpoczywać zbyt długo między dniami treningowymi, w ten sposób utracić ciężko zdobyte możliwości. I dla odmiany możesz odpoczywać zbyt krótko – w ten sposób nie pozwalasz swemu ciału wejść na wyższy poziom.

Wskazówka praktyczna: spróbuj różnicować ilość dni odpoczynkowych – to spowoduje, że ciało zaspokoi swe potrzeby, podczas gdy ty będziesz mógł sprawdzić co działa najlepiej dla ciebie. Pamiętaj, że nic nie działa w ten sam sposób na dwóch różnych ludzi. Spróbuj także poekspery-

mentować z obciążeniem treningowym dla urozmaicenia (dni treningowe lekkie, średnie i ciężkie).

### **STRONA PYTAŃ**

Pytanie – Prowadzę bardzo intensywny tryb życia, w który muszę wpasować pracę, dzieci, spotkania towarzyskie i trening wspinaczkowy. Jeśli mam szczęście, to uda mi się wygospodarować kilka godzin treningu dwa lub trzy razy w tygodniu. Jak wykorzystać najlepiej ten czas na poprawę możliwości wspinaczkowych?

Odpowiedź – Dla większości pracujących wspinaczy jest to maksymalna ilość czasu, jaki mogą przeznaczyć na trening. Założę, że chcesz trenować, by być całorocznym wspinaczem. Biorąc pod uwagę fakt, że masz ograniczony czas, najlepiej tak zorganizować trening, by zawierał faktycznie wspinanie w jakiegokolwiek postaci. Pierwsza i druga sesja treningowa w tygodniu powinna być podzielona. Przez pierwsze dwadzieścia minut zrób dwie drogi prowadząc je lub dwa razy kombinację 20 do 40 ruchów na ściance, odpoczywaj 10 do 15 minut po każdej drodze. Trudności na dwóch pierwszych drogach powinny wzrastać stopniowo tak, by rozgrać cię całkowicie. Przez następną godzinę ćwicz bouldering, by rozwinąć swą siłę i moc. Najlepsze są zestawy 4 do 8 ruchów robione na full z 4- do 5-minutowym odpoczynkiem między nimi. Próbuje pracować nad dwoma, trzema różnymi problemami, które różnią się stylem ruchów. Po krótkim odpoczynku powinieneś zrobić dwie docelowe drogi, które winny sięgać granic twoich możliwości, tak byś z ledwością mógł je skończyć. Bardzo ważne jest rozciąganie palców i barków w czasie odpoczynku w celu uniknięcia urazu i wspomnienia regeneracji. W trzecim dniu rób tylko drogi lub tylko bouldering – lecz nie łącz ich. Staraj się, by twój trening był jak najbardziej odpowiedni do twoich potrzeb, tzn. jeśli zawsze robisz „crimpy” drogi na skale, wówczas ćwicz „crimpy” problemy. Bardzo istotne jest jak najczęstsze prowadzenie, gdy ćwiczysz na drogach – tego nigdy za wiele. Dni odpoczynkowe uzależnione oczywiście będą od twojego rozkładu dnia. Jeżeli musisz ćwiczyć dzień po dniu, wówczas pierwszy dzień niech będzie nieco lżejszy od drugiego. Gdy wypadają ci dwa lub trzy dni przerwy, postaraj się, by trening poprzedzający tę przerwę był naprawdę ciężki, tak by w pełni wykorzystać długi czas regeneracyjny.

*Tłumaczenie i opracowanie na podstawie materiałów z „On the Edge”: Piotr Sadowski.*

*Konsultacja: Jan Muskat*

# Kurs instruktorów wspinaczki halowej

Co prawda ta nazwa nie została jeszcze zatwierdzona przez najwyższe sportowe urzędy, ale pewnie kiedyś to nastąpi i będziemy mogli uczyć wspinaczki halowej, a nie – jak dotychczas – wspinania na sztucznych ścianach wspinaczkowych.

A oto nagie fakty. Na przełomie kwietnia i maja '98, a konkretnie: 25 i 26 kwietnia oraz 1-3 i 8-10 maja, po raz pierwszy w naszym kraju odbył się kurs instruktorski wspomnianej wyżej specjalności. Organizatorem był Zakład Turystyki i Rekreacji Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach, a program imprezy ułożył i przebiegiem całości kierował niżej podpisany.

Co daje ukończenie kursu? Przede wszystkim bezcenną wiedzę, której aktualnie nigdzie indziej zdobyć niepodobna! Mówiąc zaś językiem urzędowym: kurs pozwala uzyskać instruktorskie kwalifikacje tym osobom, które uprawiają określoną dziedzinę sportu na wysokim poziomie, ale nie ukończyły studiów wyższych odpowiedniej specjalności (czytaj: AWF). Tą drogą otrzymuje się państwowy stopień: „Instruktor sportu”. (Z czego wynika, że stopnie nadawane przez PZA można by nazwać branżowymi? – przyp. mój W.S.). Rzeczona licytacja zawodowa uprawia do prowadzenia zajęć szkoleniowo-sportowych i treningowych w zakresie sportu wspinaczkowego uprawianego na ścianach sztucznych.

Każdy kurs instruktorski składa się z dwóch części – ogólnej i specjalistycznej (np. wspinaczkowej). Część ogólna dotyczy podstaw wiedzy na temat sportu w ogóle, metodyki, treningu itd. Nic więc dziwnego, że absolwenci AWF są zwolnieni z obowiązku jej zaliczania w ramach kursu. Jeśli ktoś takiego dyplomu nie ma, otrzymuje legitymację instruktorską dopiero po zaliczeniu pierwszej części kursu. Tego rodzaju szkolenia organizują periodycznie wszystkie sportowe akademie na terenie kraju.

Kurs obejmuje łącznie 180 godzin zajęć, z czego na część specjalistyczną przypada ich 96 (lekcyjnych). Właśnie ta część została zorganizowana na katowickiej AWF. W ramach zajęć odbywały się: wykłady teoretyczne, ćwiczenia praktyczne, pokazy filmów oraz krótki staż z grupą debiutującej w roli wspinaczy młodzieży szkolnej.

Oto tematyka kursowych zajęć podana w telegraficznym skrócie:

1. *Ogólne wiadomości o skalnej wspinaczce, jej cechy charakterystyczne, walory, specyfika na tle innych gałęzi sportu i rekreacji. Historia w. na świecie i w Polsce.* 2. *Biomechaniczne podstawy wspinania.* 3. *Motoryka wspinacza.* 4. *Sprzęt i wyposażenie wspinacza.* 5. *Podstawy wspinania. Technika ruchu. Niektóre techniki asekuracji.* 6. *Sztuczne ściany wspinaczkowe. Charakterystyka i klasyfikacja. Normy techniczne i zasady bezpiecznej eksploatacji. Ściany szkolne, rekreacyjne i zawodnicze. Ośrodek wspinaczkowy.* 7. *Zawody wspinaczkowe, organizacja i sędziowanie.* 8. *Trening i rozwój wspinacza.* 9. *Rozgrzewka wspinaczkowa. Dieta wspinacza.* 10. *Urazy, kontuzje i schorzenia „zawodowe”. Zapobieganie, leczenie.* 11. *Metodyka szkolenia wspinaczkowego. Nauczanie techniki ruchu. Nauczanie niektórych technik asekuracji. Metodyka prowadzenia zajęć w szkole i w UKS.* 12. *Podstawy rekreacji ruchowej. Wspinaczka jako forma rekreacji.* 13. *Wspinaczka a prawo.* 14. *Tematy uzupełniające.*

W kursie wzięło udział 26 osób z całego kraju. Skład grupy był bardzo zróżnicowany. Obok szkolnych nauczycieli w-f, którzy w wakacje uprawiają taternictwo, widziało się doskonałych skałolazów, mistrzów panela, notowanych w krajowych rankingach. Test kończący kurs zdało (jak dotąd) 16 osób. Zajęcia prowadzili wykładowcy AWF, przy czym tematami wspinaczkowymi opiekowali się głównie kol.: Krzysztof Sas-Nowosielski i niżej podpisany. Gościnnie wygłosił wykład kol. Renata Piszczek z krakowskiego RENE-Sport.

Jakie refleksje po imprezie? No cóż, mogę o tym mówić tylko we własnym imieniu, jako organizator i wykładowca. Ponieważ wszystko było robione po raz pierwszy, nie wszystko wyszło idealnie – trzeba było zapłacić frycowe, o czym uczestnicy kursu zostali lojalnie uprzedzeni. Na poziomie całości przedsięwzięcia niekorzystnie odbiło się duże zróżnicowanie kwalifikacji, postaw i oczekiwań kursantów. Ten problem pojawił się dlatego, że kurs zorganizowany został w sytuacji przymusowej – zaistniała pilna potrzeba zapewnienia kadry instruktorskiej dla UKS-ów, którym dostarczono ściany w ramach dotowanego przez UKFIT programu „Wspinaczka w szkole”. Niewątpliwie z tych doświadczeń zostaną wyciągnięte wnioski, na czym skorzystają... uczestnicy następnych kursów.

Wiedza przekazywana słuchaczom na kursie bardzo odbiegała od standardowych programów szkoleń organizowanych dla instruktorów PZA. Z pewnością jest to objaw pozytywny. Tego rodzaju

kursy będą mogły stanowić cenne uzupełnienie kwalifikacji instruktorów skalnej wspinaczki i taternictwa.

W przyszłości kursy, organizowane w trybie zaocznym, będą się odbywać wcześniej, w okresie: styczeń-marzec, czyli w martwym sezonie. Czy następny zostanie zorganizowany wiosną 1999 roku? To zależy od zainteresowania. Jeśli zbierze się odpowiednio liczna grupa chętnych (15-18 osób), nie widać istotnych przeszkód.

Informacji szczegółowych udzielam telefonicznie pod numerem (prywatnym) 0-32 811-702 (najlepiej dzwonić wieczorem, do późna). Można też zapisać faksem na numer: 0-32 588-497.

## Wall of the Early Morning Light

14-20 czerwca br. Jacek Czyż, Kazimierz Śmieszko i Mitchell Stearn (USA) przeszli drogę Wall of the Early Morning Light (VI 5.9 A3+, 28 wyciągów) na południowo-wschodniej ścianie El Capitan w Yosemite w Kalifornii. Było to pierwsze powtórzenie przez Polaków tej sławnej, jednej z najdłuższych skalnych wielkościanowych dróg w Północnej Ameryce. Prowadzi ona prosto do góry w najwyższej partii tej ściany, w wyjątkowo czystym i twardym złotym granicie i jest nieustannie pionowa lub przewieszona. Po dwóch krótkich popołudniach, w trakcie których zaporęczowano 3 dolne wyciągi, zespół wszedł w ścianę w sobotę, 14 czerwca. Spędził w niej kolejnych 7 dni, przemieszczając się w tempie po 3-4 wyciągi dziennie.

Prowadzili, zmieniając się co drugi dzień, Czyż i Śmieszko (Stearn prowadził na całej drodze 3 wyciągi). Na szczycie byli w piątek, 20 czerwca, o godz. 16<sup>00</sup> i rozmawiali przez telefon komórkowy ze swoimi przyjaciółmi. W sumie przejście zajęło im około 80 godzin efektywnej wspinaczki.

Przez całą drogę panowała dobra pogoda. Dla obu Polaków nie było to pierwsze spotkanie z El Capitanem – Śmieszko przeszedł tam 9 dróg, zaś Czyż 3 drogi. Według moich (zapewne niepełnych) danych, Polacy na El Capitan dokonali dotychczas 20 przejść na 11 drogach: Zodiac przeszli 4 polskie zespoły, zaś Nose i Salathe Wall po 3. El Capitan, który jest „od zawsze” areną sportowej rywalizacji wspinaczy z całego świata, dotąd nigdy nie był celem wyjazdu sportowego Polskiego Związku Alpinizmu.

Wall of the Early Morning Light (znana również pod nazwą Dawn Wall) zrobiona została przez Amerykanów Warrena „Batso” Hardinga i Deana Caldwell’a jesienią 1970 r. Przejście zajęło im 27 dni

i był to wówczas w Stanach Zjednoczonych rekord pobytu w ścianie. Wiele z tych dni spędzili na wierceniu. Droga została zarzucona, ponieważ nie udało się jej przejść od razu z powodu dużych trudności oraz załamania pogody. Chciano pospieszyć im z pomocą, olbrzymie zainteresowanie krajowych mediów (na szczycie powitał ich jako bohaterów tłum reporterów i telewizyjne kamery), podniecenie i gniew części wspinaczkowego środowiska, wszystko to spowodowało, iż Wall zyskała sławę jak żadna inna droga na El Capitan (w Polsce odbyło się to za sprawą bogato ilustrowanego artykułu w czasopiśmie „Ameryka”). Kilka miesięcy później, w styczniu 1971 r., inny zespół amerykański, Royal Robbins i Don Lauria, ponownie rozpalili społeczność wspinaczkową, próbując drogę „skasować” w trakcie 7-dniowego drugiego przejścia (było to jednocześnie pierwsze zimowe przejście ściany El Capitan). Robbins, który uważał, iż ze względu na ilość wbitych nitów droga ta jest hańbą dla El Capitana, miał zamiar usunąć wszystkie zbędne nity. Pod wrażeniem jednak logiczności, jakości i piękna wspinaczki, Robbins i Lauria przezwali swój zamiar, usuwając jedynie nity w dolnej części drogi. W następnych latach w okolicy Wall poprowadzono kolejne nowe drogi lub warianty, omijające dolny oczyszczony fragment: New Dawn (Charlie Porter, 1972), Mescalito (1973), Hockey Night in Canada (1978). Od czasu zimowego przejścia Robbinsa oryginalna Wall była kompletnie zapomniana. Dopiero w 1986 r. Steve uzupełnił usunięte nity. W rezultacie droga stała się szybko popularna. Ostatnie przejścia robione są w granicach 5-7 dni. Ale różnie to w życiu bywa. Przekonał się o tym jeden modernistyczny zespół, który planował 7 dni, a ostatecznie potrzebował 14 dni na skończenie drogi. Niemniej jednak można ją przejść mieszcząc się nawet w ciągu jednej doby. Szybki amerykański zespół w składzie: Dave Bengston (przewodnik z Yosemite Mountaineering School), Steve Gerberding (zawodowy wspinacz i przewodnik; w 1995 r. miał za sobą El Cap 63 razy) i Scott Stowe (wówczas ratownik z Yosemite Rescue, obecnie przewodnik z YMS) we wrześniu 1991 r. przeszedł drogę w mocno wyśrubowanym czasie 25 godzin i 5 minut. Wspinali się na lekko, bez biwakowego sprzętu, no i znali dobrze drogę. Z czym wybrać się na Wall – polecany do wzięcia sprzęt na drogę jest podobny do innych klasycznych wspinaczek na El Capie, jak Mescalito, Zodiac lub Shield.

W. Janowski

# Wysokie wyróżnienie dla Andrzeja Zawady

Istniejący od niemal 80 już lat międzynarodowy klub wysokogórski Groupe de Haute Montagne jest jedną z najbardziej elitarnych organizacji sportowych na świecie. Zrzesza aktualnie ok. 250 członków, co roku przyjmując zaledwie po kilku nowych, rekomendowanych przez co najmniej dwa uznane autorytety i zatwierdzanych na wniosek specjalnej komisji. Organem klubu są wysoko cenione i wpływowe „G.H.M. Annales”. Tegoroczne Walne Zgromadzenie Groupe de Haute Montagne (Chamonix, 17 października 1998) nadało członkostwo honorowe dwóm alpinistom: pierwszemu zdobywcy Everestu w 1953 r., Edmundowi Hillary’emu oraz Polakowi Andrzejowi Zawadzie – głównie w uznaniu jego pionierskich zasług w rozwoju himalaizmu zimowego. Andrzej Zawada jest jedynym członkiem honorowym G.H.M. z Europy Środkowej i Wschodniej (łącznie z Austrią i Niemcami). Wyróżnienie jest tym cenniejsze, że G.H.M. nie szafuje – jak inne organizacje – członkostwami honorowymi: w ciągu 80 lat swej historii przyznała je niewielu osobom, z których 13 żyje. Jest to oczywiście także wyraz uznania dla wielkich osiągnięć alpinizmu polskiego.

Dziękując zebrany w sali hotelu „Majestic” za tak zaszczytne wyróżnienie, Andrzej Zawada podkreślił sięgające lat międzywojennych więzy przyjaźni między alpinistami polskimi i francuskimi i zaproponował rozważenie możliwości zorganizowania wspólnej wyprawy zimowej na jeden z dotąd nie zdobytych zimą 8-tysięczników – Naga Parbat, Makalu lub K2. Propozycja spotkała się z bardzo żywym zainteresowaniem.

## ANDRZEJ ZAWADA

Urodzony 16 VII 1928 r. w Olsztynie. Sejsmolog, w latach 1955-95 pracownik Instytutu Geofizyki PAN. Wybitne przejścia w Tatrach, szczególnie zimowe. W 1959 r. kierował 19-dniowym pierwszym przejściem zimowym 70-kilometrowej grani całych Tatr. Wspiął się w Wietnamie, na Spitsbergenie, w Alpach (wielkie drogi latem i zimą). W 1970 r. kierował wyprawą w Pamiro-Ałaj i Pamir, wszedł na Pik Lenina (7134 m). W sierpniu 1971 r. jako kierownik wyprawy dokonał pierwszego wejścia na dziewiczy Kunyang Chhish (7852 m) w Karakorum, jeden z 20 najwyższych szczytów Ziemi, przy tym jeden z najtrudniejszych (powtórne wejście dopiero po 17 latach). W 1973 r. jako pierwszy



*Andrzej Zawada, tym razem nie w górach. Przecina wstęgę (taśmę) w nowo otwartym sklepie Pakera. Patrz notatka na stronie 42.*

*Fot. G. Głazek*

człowiek osiągnął zimą wysokość 7000 m, zdobywając najwyższy szczyt Afganistanu Noshaq (7492 m). Jako światowy rzecznik i niejako „wynalazca” himalaizmu zimowego, w 1974 r. kierował zimową wyprawą na Lhotse (8501 m) i znów jako pierwszy przekroczył magiczną linię 8000 m, osiągając wysokość 8250 m. Latem 1977 kierował polsko-brytyjską wyprawą w Hindukusz i uczestniczył w I przejściu słynnej północnej ściany Kohe Mandaras (6628 m). Zimą 1979-80 kierownik wyprawy na Mount Everest (8848 m), zakończonej pierwszym wejściem zimowym na najwyższą górę świata (17 II 1980), a potem w wyprawie wiosennej – poprowadzeniem nowej drogi południowo-zachodnią ścianą Everestu. W 1985 r. kierował wyprawą, która dokonała pierwszego wejścia zimowego na Cho Oyu (8201 m) – dziewiczym, niezwykle trudnym i do dziś nie powtórzonym nawet w lecie filarem południowo-wschodnim. Na przełomie

1988 i 89 roku był kierownikiem technicznym belgijsko-polskiej wyprawy, która dokonała pierwszego wejścia zimowego na Lhotse (8501 m). Zimą 1987-88 kierował wielką międzynarodową ekspedycją, która podjęła ambitną próbę wejścia na drugi szczyt Ziemi K2 (8611 m). Ostatnio, podczas kolejnych zim 1996-97 i 1997-98 kierował śmiałymi próbami wejścia na Nanga Parbat (8125 m) w niezwykle trudnych zimowych warunkach.

Należy do światowych ekspertów alpinizmu i himalaizmu, a jeśli chodzi o zimę – jest specjalistą nr 1. Prowadzi szeroką działalność publicystyczną w postaci prelekcji, artykułów w pismach fachowych i ogólnych, realizacji filmowych. Jest współautorem głośnej książki „Ostatni atak na Kunyang Chhish” (1973), której niemiecka wersja miała dwa wydania, a także 5-tomowej serii „W skałach i lo-

dach świata” (1959-1974) i dzieła zbiorowego „W górach wysokich” (1985). Jest członkiem honorowym szeregu organizacji górskich – polskich i zagranicznych, w tym (od 1987 r.) najstarszego klubu alpinistycznego świata, brytyjskiego Alpine Club i ostatnio (1998) elitarnego klubu francusko-międzynarodowego, Groupe de Haute Montagne. Jest również członkiem ekskluzywnego Explorers Club (New York, 1996). Za działalność górską kilkakrotnie odznaczony Złotym Medalem za Wybitne Osiągnięcia Sportowe, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz odznaczeniami zagranicznymi, m.in. jednym z najważniejszych orderów pakistańskich. Należy do największych postaci w historii alpinizmu światowego.

Józef Nyka

---

# Pożegnania

---

## Dorota Bocheńska

30 lipca 1998 r. podczas wejścia na Mt Blanc zginęła nasza koleżanka Dorota Bocheńska. Gwałtowne załamanie pogody zastało ją w rejonie Mt Maudit. Prawdopodobnie myląc drogę, zesłała na włoską stronę i tam uległa wypadkowi.

*No i zanikło drżenie rąk,  
A więc na szczycie  
I oto odpadł w przepaść lęk  
Na wieki znikł.  
Tu się zatrzymać nie chce nikt  
Pełzną prawie  
I wiem, że nie zdobyty szczyt,  
A ja potrafię  
Wśród nie przetartych jeszcze dróg  
Jest i ta moja,  
A wczoraj przekroczony próg  
Już mnie nie woła.  
Imiona tych, co padli tu,  
Schowały śniegi  
I ślady moich własnych stóp  
Tu są na wieki.  
Jak czysty błękit  
Lodu grań i zbcze lśni  
I tajemnica ostrych skał*

*Zawierza mi.  
Spoglądam czujnie w marzeń las  
Sponad głów.  
I święcie wierzę w czystość tę  
Śniegu i słów.  
I cóż, choć minie długi czas  
Pod tym niebem  
To tutaj właśnie pierwszy raz  
Znalazłem siebie.  
„Każdą sekundę w radość zmienić”  
Szeptąła woda  
A dzień,  
O co to był za dzień?  
Ach tak – środa!*

Na szczyt – Wł. Wysocki  
Przełożył Leon Zawadzki

Dorotko! Żle się stało, że pogoda była tak piękna, lato tak długie, a ty tak chciałaś być tam – w górach. W nas masz zawsze przyjaciół.

Koledzy i koleżanki  
ze Speleoklubu Warszawskiego



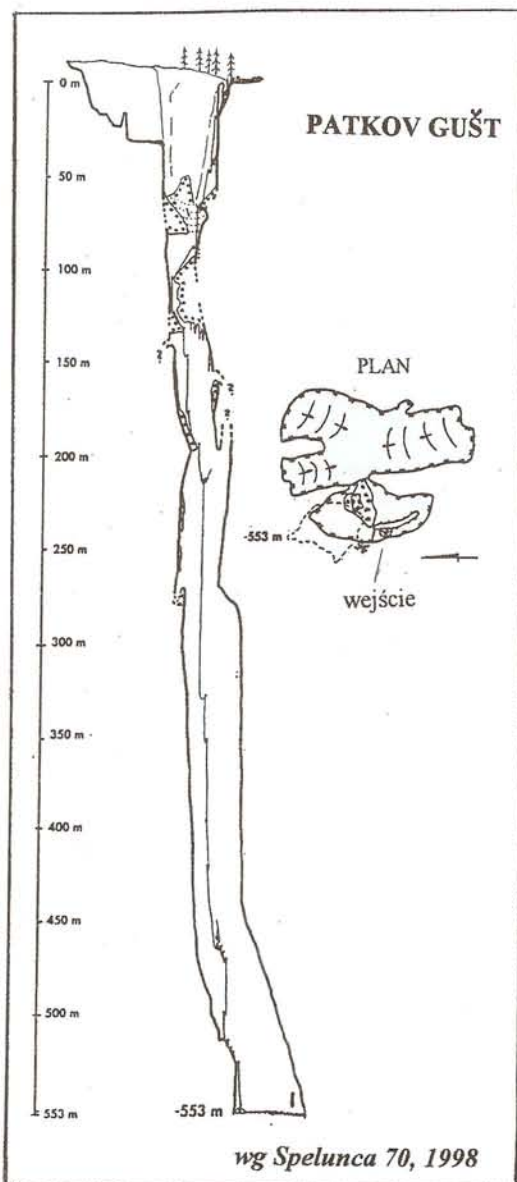
# Jaskinie i speleologia

## Druga studnia świata w Velebicie

Urodzaj na gigantyczne studnie na obszarze byłej Jugosławii trwa. W T.1/97 (s. 40) publikowaliśmy przekrój najgłębszej w świecie od października 1996 r. słoweńskiej Vrtiglavica-Vertigo (-643 m). Ma już ona zresztą polskie przejście dokonane przez wyprawę Speleoklubu Bobry wiosną br. Niecały rok później drugą pozycję zajęła chorwacka Jama Patkov Gust z głębokością -553 m, której wizerunek zamieszczamy obok.

Odkryta została przez grotolazów z Zagrzebia podczas obozu poszukiwawczego. Ekipa pod kierownictwem Damira Lackovića znalazła 2 VIII 1997 r. obszerny otwór studni (65 x 30 m) położony obok wielkiego leja (100 x 75 m). Skała we wstępnych partiach jest krucha i porośnięta roślinnością. Na głębokości -65 m zaczyna się lodowa pochylnia, którą pokonuje się korek lodowy o miąższości 15 m. Partie śnieżno-lodowe prowadzą dalej do zwężenia na -105 m (przekrój 2 x 1,5 m, dociera tu jeszcze światło). Od tego miejsca pojawia się sporo wody. Stosunkowo wąski fragment ciągnie się do -130 m, gdzie studnia ostatecznie się rozszerza. Ściany pokryte są lodem do -300 m. Na -460 m jest niewielka półka umożliwiająca odpoczynek. Dno stanowi obszerna galeria 40 x 30 m, na której północnym końcu znajduje się najniższy punkt jaskini.

Eksplozacja i pomiary zajęły dwunastoosobowej ekipie 8 dni. Obiecujące echo rozbrzmiewające w końcowej galerii było powodem dostarczenia na dno 300 m niepotrzebnych lin. Jaskinia jest niebezpieczna ze względu na spadający lód i z tego powodu odkrywcy odradzają odwiedzanie jej w licznych zespołach. Ich zdaniem optymalną porą na przejścia jest zima, pod warunkiem, że nie będzie zbyt wiele utrudniającego dojście śniegu.



Warto dodać, że kolejne – trzecie miejsce w rankingu głębokich studni zajmuje położone obok Vrtlavicy Brezno pod Velbom (-501 m).

### Sprostowanie

W „Taterniku” 2/98 do notatki na stronie 35 omawiającej listę najgłębszych jaskiń świata wkrađ się błąd. W podsumowaniu wzmiankowane są 4 jaskinie przekraczające -1000 m położone na Słowacji. Chodzi tu oczywiście o Słowenię, a jaskiniami tymi są: Cehi 2 „la Vendetta” (-1370), Abisso Veliko Sbrago (-1198), Vadima (-1182) i System Molicka pec (-1130). Przepraszamy! rk

## Speleokonfrontacje

W dniach 17-18 października staraniem członków Speleoklubu Dąbrowa Górnicza odbyły się kolejne Speleokonfrontacje '98. Miejscem zjazdu jak w latach ubiegłych był Bydlin. Tegoroczna impreza zgromadziła około 150 osób z kraju i zagranicy. Miłe spotkanie towarzyskie z ogniskiem i dyskoteką urozmaiciły prelekcje i pokazy filmowe. Odbyło się również wejście do pobliskiej „jurajskiej rewelacji ubiegłego roku” jaskini Ciesień.

K. Rezielski

## Portret Śpiącej Damy Nanga Parbat – dla PZA

„Zwycięzcom Korony Świata jestem wdzięczny za udzielenie przytułku moim sentymentalnym wspomnieniom. Polska zindabał!”<sup>1)</sup> Napisał w dedykacji Henryk Franczak ofiarowując PZA pamiątkę z czasów, gdy jako pilot dakoty latał wśród najwyższych gór. Obraz, przedstawiający dziewczynę jeszcze Śpiącą Damę Nanga Parbat widzianą z okna samolotu, namalował na jego prośbę w 1949 r. przyjaciel – oficer uzbrojenia Przemysław Hedinger, z którym służyli w pakistańskim lotnictwie wojskowym. Zmarły w latach 60. autor malował na podstawie wykonanych przez Franczaka zdjęć, ale sam miał też okazję podziwiania góry z kabiny jego samolotu.

Henryk Franczak, mieszkający w USA uczestnik Światowego Zjazdu Lotników Polskich (27-31 sierpnia 1998 r.) odwiedził siedzibę PZA w towarzystwie członków rodziny (m.in. siostry Teresy Gajewskiej z mężem i synem) 7 września br. Barwne opowiadania pilota RAF-u, który z wellingtona bombardował Niemcy latając w 304 Dywizjonie Bombowym im. Ziemi Śląskiej, przybliżyły zebranym mało znany epizod z losów weteranów polskich sił lotniczych w Anglii. W 1948 r. nowo utworzony Pakistan, prowadzący właśnie z Indiami wojnę o Kaszmir, poszukiwał doświadczonych pilotów i obsługi naziemnej. Polacy otrzymali propozycję zaciągnięcia się do pakistańskiego lotnictwa. Szczęśliwie wkrótce po ich przybyciu do Karaczi nastąpiło zawieszenie broni i w działaniach wojennych udziału już nie wzięli, szkolili tylko jako instruktorzy w szkole podchorążych. Henryk Franczak dostał następnie propozycję pracy w pakistańskich cywilnych liniach lotniczych Orient Airways Ltd. Utrzymywał komunikację z wysokogórskimi lotnis-



Moment wręczenia obrazu. Trzyma go Henryk Franczak. Obok Andrzej Zawada i Leszek Cichy

kami. Latał tam do 1953 r., m.in. do Gilgit i Skardu. Zaprzyjaźnił się z mirem Hunzy, któremu pokazał z lotu ptaka jego księstwo, przewoził wyprawę K.M.Herrligkoffera po pierwszym wejściu Hermana Buhla na Nanga Parbat (1953 r.) oraz wiozł w góry amerykańską wyprawę na K2. Latał też do Kathmandu po brytyjskiego ambasadora.

Obecny na spotkaniu Andrzej Zawada (w okresie przedwspinaczkowym był pilotem szybowcowym i skoczkiem spadochronowym) wspominał, jak natrafił na ślady pobytu polskich lotników w dolinie Hunzy podczas wyprawy na Kunyang Chhish (1971 r.). Uczestników wyprawy zaskoczyło wówczas, że mieszkańcy Gilgit od razu prawidłowo kojarzyli słowo „Poland” jako nazwę kraju w Europie i nie mylili go z „Holland”.

Przyjmując wzruszającą pamiątkę Leszek Cichy wyraził nadzieję, że przeniesie ona na polskich alpinistów chociaż część szczęścia towarzyszącego panu Henrykowi na podniebnych szlakach.

<sup>1)</sup> Niech żyje!

Rafał Kardaś

Z satysfakcją, jakimś podziwem, ale i pewną melancholią przejrzałem „Jaworowy Mur od północy” w „Taterniku” 72 1 (282):14-21, 1998. Piękna robota kolegi Józefa Gurnika! Jakżeż inne stały się Tatry od czasów mojej młodości, kiedy się wołało jeszcze o powrót do ich wielkości, kiedy były jeszcze całe ściany bez jednej drogi. Kiedyś i ja się w takie rzeczy bawiłem: Zadni Kościelec – „Oscypek” 3: 147-153, 1952; Wielka Buczynowa Turnia – „Osc.” 4: 5-9, 1952; Granaty od wschodu – „Tat.” 37: 147-153, 1961 (przygotowane dużo wcześniej). Było to na miarę ówczesnych czasów i ówczesnych możliwości polskiego taternictwa. To, co widzimy teraz w Jaworowym Murze, jest stanem dzisiejszym. O ileż bogatsze od tego, co mamy w tomiku 15 WHP. (opracowanie 1970) i niewiele później 16. Ale z tego zestawienia widać, że „epopeja Jaworowego Muru” skończyła się właściwie z końcem lat siedemdziesiątych: zupełnymi rodzynkami są nowe przejścia z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Ano, Tatry dla dzisiejszych wspinaczy są już tylko boiskiem. Chociaż, jakby się ktoś uparł, to mógłby w tym murze znaleźć jeszcze miejsce dla jakiejś drogi – jak się to mawiało za moich czasów – „między Paszuchą a Łapińskim”.

A teraz drobny kamyczek: 15. „Dolny Wariant” S. Bernadzikiewicz, Z. Gieysztor, S. Groński, 27.08.1929, II. A także: 24: „Żlebem”. S. Wróbel, W. Żędzianowski, 1.09.1929, IV. 3 godziny. Drogi autorze, drogi Kolego Redaktorze i Współredaktorzy: Stanisław Groński i Stanisław Wróbel – to jedna i ta sama osoba! W r. 1929 „Mojżesz” nazywał się jeszcze Wróbel – później zmienił nazwisko na Groński (od miejsca urodzenia). Patrz Paryscy WET. Więc chyba albo w obu miejscach Wróbel, albo – chyba lepiej – już w obu miejscach, jak i zawsze później, Groński.

*Ryszard W. Schramm*

## Wyciągnąć z czeluści lamusów klubowych i... ujawnić!

Zainspirowany ukazaniem się informacji w rubryce: przegląd prasy i wydawnictw „GiA” nr 6/98, dotyczącej biuletynu „Asekurant nr 9” wydawanego przez Klub Wysokogórski w Olsztynie (zawierającego m.in. artykuł M. Rutkowskiego o ocenie sytuacji na rynku alpinistycznym) – jako zbieracz szeroko rozumianej literatury o tematyce górskiej zwracam się z prośbą do wszystkich Klubów Wysokogórskich o ujawnienie na łamach „Taternika” z różnych względów do tej pory nie publikowanych informacji bibliograficznych o wydawanych zeszytach szkoleniowych, biuletynach, itp. aperiodykach.

W swoich zbiorach zgromadziłem dotąd między innymi:

– „Bularza”, „Brytana”, których pierwsze numery wydawane były przez Klub Wysokogórski w Gliwicach

– „Optymistę”, którego pierwsze numery były wydawane przez Klub Wysokogórski w Katowicach

– „Taterniczka”, wydawanego do kwietnia 1991 r. przez Klub Wysokogórski w Krakowie, „Informatory Szkoleniowe Instruktorów Taternictwa”, wydawane na początku lat 70. przez Klub Wysokogórski w Krakowie

– „Luuz!”, wydawany przez Klub Wysokogórski w Poznaniu

Chętnie zatem poznałbym pełną listę tych z pewnością ciekawych dla kolekcjonerów pozycji, celem rozpoczęcia starań stopniowego uzupełniania brakujących tytułów czy też poszczególnych numerów. A może jest ktoś, kto posiada już całość informacji na interesujący chyba nie tylko mnie temat i zechciałby ją udostępnić szerszemu gronu zainteresowanych?

Z poważaniem  
*Janusz Badura*



## „CDS 91”

Długoletnie kontakty z francuskim klubem Chilly-Mazarin „SCCM” dały możliwość wyjazdu do Gouffre Bergere w 1998 roku w ramach Comite Departemental de Speleologie de l'Essonne. W okresie działalności w Verkors (10-30.07.1998 rok) w jaskini było mrowie ludzi. Uaktualnionych danych jeszcze nie posiadamy, ale orientacyjnie 42 kluby ze świata. Najliczniejsi Francuzi, Hiszpanie, Belgowie, Szwajcarzy, Węgrzy, Kanadyjczycy oraz my, Polacy z SBB – 16 osób, AKG – 3 osoby, KKTJ

– 1 osoba, SDG – 2 osoby, SW-wa – 3 osoby, SW-w – 1 osoba oraz dość liczne osoby towarzyszące.

W trakcie całego pobytu odbyło się szkolenie z ratownictwa, łączności, ochrony środowiska oraz działalność jaskiniowa w systemie Gouffre Bergere. Ale też zdobywano góry, skały, jaskinie, kaniony oraz odbyło się wiele innych atrakcji wakacyjnych mających na celu integrację ruchu speleo na naszym padole. Było fajnie, pogoda dopisała, sukcesy też.

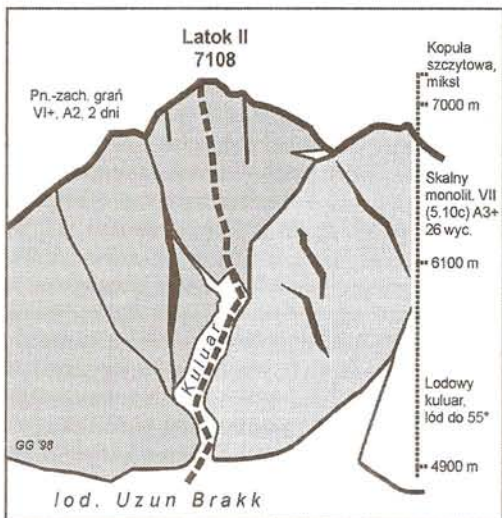
Z przymrużeniem oka  
„Murzyn”

## LATOK

W uzupełnieniu notatki z T. 2/98 (s.11) o pokonaniu zach. ściany **Latok II** w Karakorum podajemy zdjęcie uczestników wyprawy. Od lewej Alexander i Thomas Huber, Toni Gutsch i Conrad Anker w trakcie konferencji prasowej w miesiąc po zdobyciu szczytu (18 sierpnia na targach Outdoor '97 we Friedrichshafen).

Dodajmy, że Polacy mają również swoje porachunki z grupą Latoków, dokąd w maju 1984 zawitała jeleniogórsko-wrocławska 11-osobowa wyprawa kierowana przez Aleksandra Lwowa (uczestnikami byli tacy wspinacze skalni jak Stanisław Handl, Kazimierz Śmieszko, Krzysztof Czarniecki i Zdzisław Jakubowski młodszy). Jednym z celów była płd.-zach. grań Latok II, pod którą 23 maja 1984 przy niemal permanentnie złej pogodzie osiągnięto wysokość ok. 5600 m. Wyprawę opisano w „Taterniku” nr 2/84 (s. 61-62).

Tekst i zdjęcie G. Glazek



Droga zespołu Huberów „Tsering Mosong” („Długie życie”); szczyt osiągnięto 19 lipca 1997 (2 wejście w ogóle). Po lewej pn.-zach. grań, zdobyta przez dwójkę Ch.Schlessner – F.Fendt z tej samej wyprawy (3 wejście). Rys. G.Glazek



### Topografia i terenoznawstwo

Autorów opracowania szerzej przedstawiać nie trzeba: rysunki wykonał Rafał Kardaś, który jest nie tylko instruktorem taternictwa, ale również starszym instruktorem taternictwa jaskiniowego, a nadto z wykształcenia geologiem; autor tekstu – Wojciech Świącicki jest instruktorem alpinizmu, etatowym pracownikiem PZA na stanowisku szefa szkolenia Związku, niedawno obchodził 25-lecie pracy instruktorskiej. Tomik nawiązuje do zeszytów szkoleniowych wydawanych w latach siedemdziesiątych przez Komisję Szkolenia PZA. Inna jest jednak koncepcja redaktorska: stare zeszyty zawierały kilkunastu artykuły o charakterze przyczynkarskim, nowe są pomyślane jako dość szczegółowe opracowanie poszczególnych tematów; o ile wiadomo redakcji „Taternika” najbliższe zeszyty dotyczyć będą topografii Morskiego Oka oraz szerokiego omówienia zagadnień związanych z budową stanowiska asekuracyjnego. Wydawnictwo jest przeznaczone jako materiał samokształceniowy dla instruktorów (zwłaszcza tych, którzy nie szkolą każdego roku), ale nadaje się także jako pomoc szkolna dla kursantów. Prezentowane treści to nic innego jak uporządkowane materiały szkoleniowe używane na co dzień w COS PZA „Betlejemka” i na kursach instruktorskich. Poczynione we wstępie zastrzeżenie, że uwagi instruktorskie nie są oficjalną wykładnią Komisji Szkolenia PZA bierze się zapewne stąd, że nadanie formuły regulaminu mogłoby krępować inwencję instruktorów, a nadto w sposób zupełnie nie zamierzony stanowić podstawę do stawiania zarzutów o nierzetelne wykonywanie obowiązków instruktora. Tomik dzieli się na dwie niezależne części: pierwsza: topograficzno-metodyczna jest przewodnikiem po drogach wspinaczkowych na Hali Gąsienicowej i najbliższej okolicy – dol. Pustej i dol. Pańszczycy, część druga jest lekcją terenoznawstwa w jednej pigułce; ciekawe i pożyteczne przerywniki stanowią podane w punktach zasady bezpieczeństwa: w taternictwie, podczas szkolenia i w czasie zjazdu na linie. Mapki, rysunki i szkice dróg na pierwszy rzut oka wydają się być dość typowe, ale już po chwili okazuje się,



ISBN 83-910339-0-2

POLSKI ZWIĄZEK ALPINIZMU

że zawierają bogactwo szczegółów nigdzie indziej nie spotykane – nic dziwnego zresztą – chodzi przecież o tak zwaną instruktorską znajomość terenu działania. Opisy dróg otwierają zwykle dane przewodnikowe, ale warto zwrócić uwagę na skorygowanie rzeczywistych trudności niektórych dróg w stosunku do ocen zawartych w przewodniku WHP, oraz podanie hipotetycznego czasu przejścia drogi z grupą przeciętnych kursantów. Całkowitą nowość w literaturze wspinaczkowej i największą wartość książki stanowią uwagi instruktorskie do każdej z opisanych dróg. Komentarz, o którym mowa, dotyka zawsze dwóch najważniejszych spraw w trakcie nauczania taternictwa: metodyki i bezpieczeństwa. Powiedziane jest dokładnie (jeśli rzecz nie jest oczywista): w jakiej fazie kursu należy pójść na daną drogę, jakie ćwiczenia dodatkowe można przy okazji zrealizować, jakie są najkorzystniejsze połączenia z okolicznymi drogami, co, komu i w jakich okolicznościach może zagrażać, a nawet gdzie można zrobić dobre zdjęcia. Czasami odnosi się wrażenie, że miejscami komentarz jest trochę lakoniczny, ale wynika to z przyjętych założeń; podręcznik tego typu nie może (a nawet nie powinien) zastępować kursu instruktorskiego. Warto spróbować przeczytania opisów dróg jednym ciągiem, okazuje się wówczas, że książka jest nie tylko przewodnikiem po drogach kursowych, ale

i doskonałym podręcznikiem metodyki szkolenia w taternictwie. Lekturę umilają zabawne skojarzenia i bon moty, ale nic w tym dziwnego skoro Wojtek z tego słynie, myślę nawet, że w rękopisie przykładów dobrego humoru było znacznie więcej. Druga, terenoznawcza część książki zawiera opracowanie na temat pracy z mapą, kompasem i altimetrem. Przy okazji warto zauważyć, że to właśnie Wojtek Świącicki był prekursorem wprowadzenia tak rozumianego terenoznawstwa do programów kursów instruktorskich; początkowo budziło to niezbyt mądre komentarze, które Wojtek najwzyczajniej ignorował – dziś nikogo już nie dziwi, że instruktor taternictwa, a więc sportu par excellence przestrzennego, musi znać tajniki górskiej nawigacji i umieć się swobodnie poruszać w warunkach złej widoczności. Rozdział zaczyna się od przypomnienia pojęć całkiem podstawowych (np. co to jest skala mapy), by następnie krok po kroku nauczyć postępowania się w terenie mapą i kompasem. Zadania są coraz trudniejsze: od zwykłego orientowania mapy poprzez marsz na azymut, po stosunkowo skomplikowane sprawy uwzględniania deklinacji magnetycznej w różnych zakątkach świata. Wykład jest przeprowadzony bardzo przejrzysto, w czym sporą zasługę mają dobrze dobrane i sugestywne rysunki Rafała Kardasia.

*Rafał Kardaś, Wojciech Świącicki „Topografia i terenoznawstwo” – zeszyt szkoleniowy Komisji Szkolenia PZA, 80 stron, okładka kartonowa lakierowana, projekt okładki Wojciech Leder. Książka rozprowadzana przez kluby, dochód przeznaczony w całości na fundusz pomocy imienia Berbeki.*

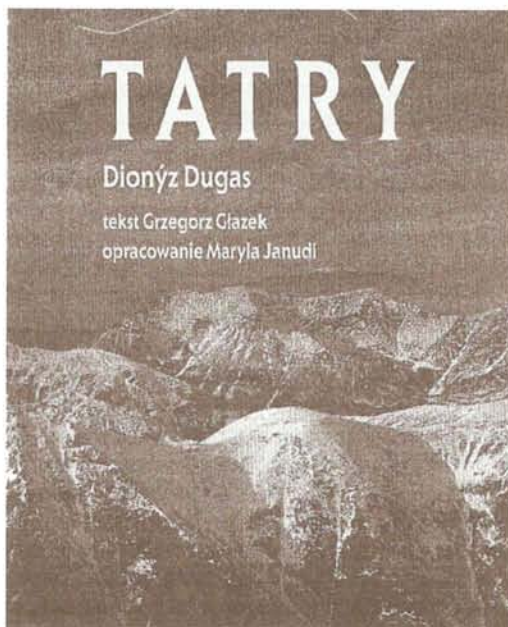
## Tatry

Nowy album o całych Tatrach z okazji 50-lecia TANAP (upływającego w grudniu 1998) przygotował Dionyz Dugas z zespołem. Partnerem firmy „Dino” z Preszowa jest wydawnictwo „Voyager” z Warszawy. To ostatnie znane jest z albumów o Pieninach i Roztoczu oraz licznej serii albumików kieszonkowych, a prowadzi je Maryla Janudi i Eckehard Kęsicki (z punktu widzenia „Taternika” warto przypomnieć, że spod redakcyjnej ręki p. Janudi w ostatnich kilkunastu latach wyszła większość tatrzańskich albumów o wspólnych edycjach polsko-słowackich, a jej współpracownikami byli tacy autorzy tekstów jak Józef Nyka, Andrzej Paczkowski i Jacek Kolbuszewski). Polska edycja albumu (pt. *Tatry*) ma całkowicie niezależne teksty, ze

skrótami angielskim i niemieckim, zawierające przegląd najciekawszych miejsc wartych obejrzenia. Trójjęzyczne podpisy przy każdym zdjęciu ułatwiają orientację w bogactwie wielojęzycznych nazw tatrzańskich. Wśród dziesięciu autorów jest trzech fotografów polskich: Grzegorz i Tomasz Kłosowcy oraz Grzegorz Głazek, zarazem autor tekstu w polskiej edycji. Zwraca uwagę zrównoważony udział zdjęć ze strony polskiej i z Tatr Zachodnich, łącznie z grupą Siwego Wierchu. Najsilniej zaakcentowana jest przyroda, szerokie panoramy i bliższe krajobrazy – bez ludzi. Album zawiera 132 zdjęcia na 144 stronach formatu 22 x 29 cm, cena det. rzędu 60 zł.

Uroczysta promocja odbyła się 11 sierpnia w Muzeum TANAP w Tatrzańskim Łomnicy, gromadząc blisko sto osób z instytucji związanych z Tatrami. Częstowano preszowskim białym winem, słowacka prasa dosłownie „wyrwała” polskim wydawcom naszą edycję i porównywała teksty (ich autorami w wersji słowackiej są Dugas i Marihn Šturcel, zawiera ona tylko przekład angielski, także tytuł jest odmienny: *Tatrský národný park*). Pod koniec spotkania dyrekcja Parku zwróciła się z książkowych planów swym słowackim i polskim wydawcom, których transgraniczna współpraca dobrze rokuje na przyszłość. O spotkaniu i pogodnej promocji w TANAPie wspominamy nie przypadkiem, bo tworzy to pewien kontrast w stosunku do atmosfery wyczuwalnej w naszym parku. Tymczasem już za rok będziemy obchodzić 45-lecie TPN.

(gg)



## Publikacje Józefa Nyki

W końcu czerwca 1998 nakładem wydawnictwa „Trawers” ukazała się nowa książka Józefa Nyki „**Nad Morskim Okiem**”. Sporo w niej o prowadzących schronisko p. Łapińskich, także o taternikach, w tym o postaciach i sprawach do niedawna „zakazanych”. Są również szczegółowe zdjęcia topograficzne ścian wszystkich trzech Mnichów oraz krytyczny przegląd pomiarów powierzchni Morskiego Oka i konkurującego z nim Wielkiego Stawu. W końcu lipca ukazało się drugie, uaktualnione (telefony!) wydanie przewodnika turystycznego J. Nyki „**Tatry Słowackie**”. Tak jak przy wznowieniach „Tatr Polskich” tegoż autora (w 1998 już 10.

wydanie), objętość nowej edycji wzrosła o kilkanaście stron. Dopelnieniem serii jest lipcowe wznowienie (6. wydanie) tomu „Pieniny”.

Jesienny numer „Optymisty” przynosi 20-stronicowy artykuł o **zachodniej ścianie Kościelca**, autorstwa G. Głazka. W artykule m.in. relacja Janusza Kusiny ze sławnego lotu z przerwaniem liny i nogą uwięzioną w ławeczce, podobna przygoda Jana Hobrzańskiego, epopeja Mirosława Króla w okapach, nieznaną próbą Piotra Dawidowicza IX+, 1xA0. Użytecznym dopelnieniem jest rozkładówka z wielkim zdjęciem i rysunkiem ściany.

## Różne sprawy

### Alpinista – samodzielny pracownik naukowy (alpinizmológ, może raczej alpinizmoloznawca).

3 września 1998 na Wydziale Wychowania Fizycznego krakowskiej AWF odbyło się kolokwium habilitacyjne dr. Andrzeja Matuszyka, kierownika tamtejszego Zakładu Alpinizmu. Podstawą była jego rozprawa pt. „Humanistyczne podstawy teorii sportów przestrzeni na przykładzie alpinizmu” (opublikowana w serii „Studia i monografie AWF w Krakowie”, Kraków 1998). Grono recenzentów stanowiło: prof. Jacek Kolbuszewski (Instytut Filologii Polskiej UW), prof. Józef Lipiec (Instytut Filozofii UJ) oraz rektor AWF w Warszawie, prof. Henryk Sozański (Katedra Teorii Sportu). Jest to pierwsza w naszym kraju rozprawa habilitacyjna z alpinizmu, a dr Andrzej Matuszyk (w 1980 r. również pierwszy doktor z alpinizmu, na podstawie pracy o Staszicu) staje się historycznie drugim w naszym kraju samodzielnym pracownikiem naukowym w tej dziedzinie. Dołączamy się do gratulacji, ale choć wynik głosowania (tajny) był jednoznaczny, wypada jeszcze poczekać na zatwierdzenie przez CKK.

Przypomnijmy też, że pierwszym samodzielnym pracownikiem naukowym od naszego sportu był poprzedni kierownik i zarazem twórca Zakładu Alpinizmu prof. Ryszard Koziół, który habilitował się na AGH z automatyki (robotyki) i dopiero potem równolegle zajął się cybernetyką sportu, którą ogólnie zajmuje się do dziś.

Uzupełnijmy także, że historycznie drugi w Pol-

sce doktorat z alpinizmu, również na AWF w Krakowie, obroniła Ewa Kuczaj-Jasińska 16 maja 1997, na podstawie pracy „Przełom w alpinizmie europejskim w latach 30. XX wieku”. W pracy tej uderza bogata baza źródłowa (jej autorka m.in. kontaktowała się z Cassinem), wedle słów samego promotora, prof. Andrzeja Paczkowskiego („Głos Seniora” z października 1997) sporo miejsca poświęcono w niej stosunkom reżimów totalitarnych (włoskiego i niemieckiego) do alpinizmu. Recenzentami pracy byli prof. Julian Dybiec z UJ i Kazimierz Toporowicz z AWF. Praca czeka na opublikowanie, jej pokłosiem jest wnikliwy artykuł autorki o Heinrichu Harrerze („Góry i Alpinizm” nr 5/1998, s. 39-44).

(gg)

### Nowy sklep Pakera

**Andrzej Zawada** (zdjęcie z momentu otwarcia na stronie 34) w sobotę 1 sierpnia 1998 jako gość honorowy (przecinając solidną taśmę rurową) uroczyście otworzył drugi w Warszawie sklep **Pakera**. Mimo słonecznej pogody publiczność dopisała, w ciągu 2 godzin po otwarciu liczba gości i kupujących doszła do 100 osób. Nowo otwarty lokal ma ok. 80 m<sup>2</sup> powierzchni i mieści się przy ul. Płockiej 17 (wejście z Al. Solidarności), jego specjalnością jest pierwsza w kraju firmowa kolekcja Karrimora, którego Paker stał się nowym dystrybutorem w początku 1998 r. Tym samym Paker prowadzi już trzy spore sklepy (drugim jest łódzki Globetrotters Shop, z którym fuzja nastąpiła jesienią 1997).

(gg)

# NAGRODY ZA WYBITNE OSIĄGNIĘCIA SPORTOWE

15 października br. w Urzędzie Kultury Fizycznej i Turystyki odbyło się wręczenie nagród, którymi urząd uhonorował wyniki osiągnięte w dziedzinach taternictwa jaskiniowego, wspinaczki sportowej i alpinizmu w roku 1998. Najliczniejszą grupę wyróżnionych stanowili grotolazi mający największy udział w uzyskaniu w sierpniu w Lamprechtsofen światowego rekordu głębokości (-1632 m.): Andrzej Ciszewski, Marcin Gala, Krzysztof Piksa, Marcin Czart, Agnieszka Gajewska, Jan Kućmierz, Henryk Nowacki, Krzysztof Recielski (nagrodzony także Tomasz Fiedorowicz nie mógł się niestety zjawić). Wspinaczkę sportową reprezentowali: Katarzyna Długosz – III miejsce w konkurencji na trudność podczas Mistrzostw Świata Juniorów w Moskwie w lipcu br. oraz Tomasz Oleksy – mistrz Europy w konkurencji seniorów na czas z Norymbergii (kwiecień br.). Wśród nagrodzonych znalazł się również prezes PZA – Leszek Cichy, który w ostatnim roku zgromadził wejścia na trzy szczyty braku-



*Agnieszka Gajewska odbiera dyplom z rąk Wiktora Kreboka, wiceprezesa UKFiT*

jące mu do Korony Ziemi: Mt Vinson, Kilimandżaro i Górę Kościuszki. Pozostałe szczyty z kolekcji zdobywał w latach: 1980 – Mt Everest (pierwsze wejście zimowe z J. Kukuczka), 1985 – Elbrus, 1986 – Aconcagua, 1989 – Mc Kinley. Nagrody wręczał Wiktor Krebok – wiceprezes UKFiT.

*R. Kardaś*

## SZKOŁA WSPINACZKOWA

*Jacek Patrzykont, Rafał Kardaś*  
instruktorzy PZA

### **Szkolenia:**

- ☛ *na sztucznej ścianie*
- ☛ *skałkowe*
- ☛ *tatrzańskie na kartę taternika*

**Szkoła zapewnia sprzęt wspinaczkowy**

### **Adres korespondencyjny:**

02-786 Warszawa, ul. Zamiany 5/117

tel./fax 844-38-20

oraz 659-82-60 (wieczorem)

## Prośba redakcji

Bardzo prosimy autorów nadsyłanych materiałów o podawanie pełnych informacji dotyczących pochodzenia zdjęć i rysunków. Zdarzało się, że kto inny rysował planik, kto inny fotografował, a redagujący całość w dobrej wierze przypisywali wszystko autorowi tekstu.

Przepraszamy Grzegorza Głazka za niezręczne umieszczenie informacji o tym, że to on był autorem zdjęcia w tekście, a nie pod fotografią. Taternik 2/98 str.24. Nawiasem, na wschodniej ścianie Zadniego Granata są jeszcze przynajmniej dwa warianty dróg wspinaczkowych, dotychczas nigdzie nie opisane. Całość czeka na dokładniejsze opracowanie. Nie umniejsza to w niczym doskonałego artykułu Janusza Mączki, gdzie była mowa o drogach przechodzonych dawniej i zachowanych w „archiwum pamięci”.

## DOLNOŚLĄSKA SZKOŁA WSPINACZKI


7-dniowy kurs wspinaczki  
w "Sokolikach" w/g programu PZA.  
Kursy tatrzańskie letnie i zimowe.  
Ponadto wspinaczki rekreacyjne  
w skałkach i górach.

### Instruktorzy PZA:

Bogna Jakubowicz

Piotr Jaśkiewicz

• Tomasz Kliś

Wojciech "Dozent" Wajda 

### Informacje i zapisy w sklepie:

50-013 Wrocław  
ul. Czysta 7



tel/fax (0-71)72 58 38

e-mail: dozent@onyx.com.pl

## CONTENTS

- 1 – World's record in Lamprechtsofen
- 4 – Messner in Poland
- 9 – Mariott Tower – face nord en solo
- 13 – Devil's Tower
- 15 – Gone with the wind
- 24 – First on the rope
- 30 – Training — mistakes
- 32 – Cours for hall climbing istructors
- 33 – Wall on the Early Morning Light
- 34 – Price for Andrzej Zawada
- 35 – Obituaries
- 36 – Caves and speleology
- 37 – The portrait of Sleeping Lady  
Nanga Parbat
- 38 – Letters
- 39 – Latok
- 41 – Publishing houses
- 42 – Different things

## T A T E R N I K

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU  
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA  
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,  
ul. Erasma Ciołka 17, p. 208: 01-445 Warszawa,  
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14  
10-684 Olsztyn, tel. domowy i fax 542-85-92

e-mail: afklos@friko4.onet.pl

Kolegium redakcyjne:

Rafał Kardaś, Andrzej Kłos, Wojciech Świącicki

Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):

Ryszard Gliński

Korekta: Małgorzata Cwinarowicz

Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa

Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE

01-691 Warszawa

ul. Gdańska 22, tel 39-87-85

Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teksty na komputerze, o przekazywanie ich w formie dyskietek (zwracamy) w programie TAG, Page Maker, Word For Windows, Ami PRO

## ALPINIZM - TURYSTYKA

*Polecamy  
w szerokim zakresie:*

- ❖ Sprzęt alpinistyczny i turystyczny
- ❖ Literaturę górską
- ❖ Obuwie turystyczne
- ❖ Odzież z tkanin POLAR, GORE-TEX, HighTech MICRO

*Instruktaż i szkolenie w zakresie  
technik alpinistycznych.  
Sklepy prowadzą alpiniści i grotolazi*

Wrocław: ul. Czysta 7 (za DT Centrum)  
tel. (071) 72-58-38

SKLEP FIRMOWY  
ul. K. Szajnochy (róg Gepperta), tel. (071) 72-36-31



Jelenia Góra: ul. Krótka 3

*Zapraszamy*

**Dla stałych klientów niższe**



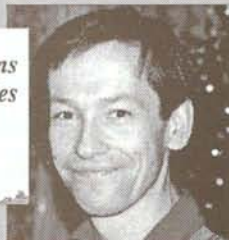
# Patagonia

Mountain Agency

Expeditions  
& Guides

Internet: <http://www.alaska.net/~ptgmtnag>

e-mail: [patagoni@friko2.onet.pl](mailto:patagoni@friko2.onet.pl)



**Ryszard Pawłowski, ul. Ks. Ścigały 42/5, 40-210 Katowice; tel./fax 032/ 204 71 37**

Adres korespondencyjny: Katowice 3, PO Box 6

**Piotr Pustelnik, ul. P.O.W. 21/12, 90-248 Łódź; tel. 042/ 319 300, 0602/ 24 94 38**

**Jacek Maselko (Alaska)**

e-mail: [ptgmtnag@alaska.net](mailto:ptgmtnag@alaska.net)

Do każdej wyprawy można dołączyć również na zasadzie trekkingu. Warunki finansowe do uzgodnienia.

#### Wyprawy '98

Broad Peak (8047 m): 26 czerwca – 10 sierpnia  
Muztagh Ata (7546 m) Chiny: 10 sierpnia – 6 września  
Makalu: wrzesień/październik  
Ama Dablam (6856 m): 22 października – 15 listopada

#### Trekkingi '98

Tybet (Katmandu-Lhasa-Everest BC-Ktm.): kwiecień (3 tyg.)  
Karakorum (Baltoro, K2 Base Camp): 27 czerwca – 24 lipca  
Nepal (Makalu Base Camp): wrzesień (4 tygodnie)  
Nepal (Everest Base Camp): listopad (3 tygodnie)

## Nagrody za wybitne osiągnięcia sportowe

Uzupełnienie materiału ze strony 43



Andrzej Ciszewski i Henryk Nowacki, w głębi Agnieszka Gajewska, podczas uroczystości w UKFiT



Katarzyna Długosz i Tomasz Oleksy w UKFiT  
Fot. Rafał Kardaś

<http://pza.org.pl>

# CZY PLUS CZY MINUS

Wiele razy byłem już na szczycie  
ale nigdy nie zastałem tam  
tabliczki z napisem  
„Koniec Świata”.

Dlatego zawsze wracam do domu,  
przebieram się, jem  
i zasypiam.

Nazajutrz niesie mnie  
szukać dalej...

*Piotr Pustelnik  
himalaista*

## ZAWSZE



# alpinus

Alpinus SA 41 600 Świętochłowice, ul. Ceramiczna 2  
<http://alpinus.org.pl>

